ROK XII № 7-8

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

TREŚĆ

WYDAWNICTWO «PARNAS POLSKI»
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 110

ROK XII Nr 7—8

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

Ś. p. JÓZEF UJEJSKI*

Polska Adademia Umiejętności i Uniwersytet Jagielloński poleciły mi uczcić świętą pamięć i zasługi naukowe Józefa Ujejskiego: Akademia — jako swego członka, Uniwersytet — jako swego docenta.

Przez lat zgórą trzydzieści pracował Ujejski nad historią literatury polskiej, zrazu nad twórczością Reja, później nad wielką poezją XIX wieku: nad Słowackim, nad Krasińskim, nad Mickiewiczem, nad Malczewskim. Z biegiem czasu ogarniał swoim niepospolitym umysłem i swojem gorąco Polskę kochającem sercem coraz szersze horyzonty, mianowicie całe wielkie prądy jej kultury duchowej czego najświetniejszym dowodem są „Dzieje polskiego mesjanizmu aż do powstania listopadowego włącznie". Jak wielkie miał zdolności syntetyczne i jak wielki talent pisarski, którego jedną z głównych pierwiastków była doskonała harmonia pomiędzy jasnością stylu a uczuciowością, tego wspaniałym dowodem jest ostatnia Jego książka „O Konradzie Korzeniowskim". A we wszystkich tych i we wszystkich innych Jego pismach (np. o Hoene-Wrońskim) przebija się tak rzadka, tak wyjątkowa u polskich uczonych myśl filozoficzna, która żywo i mocno przemówiła już podczas wielkiej wojny — nasamprzód w książeczce (wydanej zrazu bezimiennie) pt. „Nacjonalizm jako zagadnienie etyczne". „Niema dwóch etyk" — oto myśl przewodnia, którą zaczerpnął Ujejski ze swego rozumu zarówno, jak ze swego serca: ale ten sam rozum i to samo serce powiedziały Mu, że nacjonalizm, nawet jako egoizm narodowy, jest od kosmopolityzmu mniej szkodliwy w dążeniu narodów do zrealizowania ideałów moralnych i że z perspektywy przyszłości będzie nawet można twierdzić, że nacjonalizm, jako moment przeszłości w ewolucji zbiorowego życia ludzkiego, był postępem. Jest jeszcze inna rozprawa Ujejskiego, napisana podczas wojny i z powodu wojny: „Narody i ich filozofia". Nigdy w życiu nie zapomnę, jak mi ją Autor czytał jeszcze z rękopisu, przeznaczając ją do druku w założonym i redagowanym przez Romana Rybarskiego w Krakowie miesięczniku „Rok Polski", do którego komitetu redakcyjnego należałem. W tej to rozprawie wyraził Ujejski pogląd, któremu się nigdy nie sprzeniewierzył, że jak wartości życia wogóle dochodzą do swej realizacji i konkretyzacji tylko przez pracę poszczególnych gatunków i podgatunków żywych istot, tak też i wartości ogólnoludzkie krystalizują się, stają się wartościami rzeczywistemi — przez pracę narodów: przecie człowiek uczestniczy w życiu ludzkości nadewszystko przez życie swego bliższego otoczenia organizmu społecznego, to jest przez

* Mowa wygłoszona 10 lipca 1937 r. na pogrzebie ś. p. prof. Józefa Ujejskiego.

życie narodów; „to nie prawda — są słowa Ujejskiego, że się najprzód jest człowiekiem, a dopiero później Polakiem, Niemcem itd. Wcale nie najprzód, tylko równocześnie". Ten pogląd był jedną z Jego głównych zasad życiowych, której nie sprzeniewierzał się nigdy — nie tylko w poglądach na różność narodów, ale i na różność indywiduów czy też całych grup, tworzących naród.

Szczerości tego poglądu doświadczyłem sam na sobie. Poznaliśmy się lat temu dwadzieścia osiem w Krakowie, na jubileuszu Stanisława Tarnowskiego (w r. 1909). Ja byłem wówczas już od lat siedemnastu nauczycielem prywatnym w Warszawie, On był, dopiero od lat paru, nauczycielem w gimnazjum św. Jacka w Krakowie. W krótce, kiedym objął katedrę historii literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, zbliżyliśmy się, polubili i pokochali. Mimowoli przychodzą na myśl słowa Mickiewicza:

Znali się z sobą niedługo lecz wiele,
I od dni kilku są już przyjaciele.

Widywaliśmy się często i rozmawialiśmy (nietylko o literaturze) dużo; i oto stało się mojem marzeniem, żeby się habilitował, zwłaszcza, kiedy w roku 1915 ogłosił (nakładem Polskiej Akademii Umiejętności) niewielką rozmiarami, ale posiadającą wielką wartość, rozprawę pt. „Główne idee w „Anhellim" Słowackiego". On się wahał, twierdząc, że to praca zbyt mała na pracę habilitacyjną. Mój Boże! Gdybyśmy takich „małych" prac mieli więcej, inaczejby wyglądała nasza nauka historyczno-literacka. Udało mi się jednak namówić Go wreszcie, że się zgodził. I nigdy, w przeciągu 25 lat mojej profesury w Uniwersytecie Jagiellońskim, nie słyszałem tak świetnego wykładu habilitacyjnego, jaki On, po odbyciu kollokwium habilitacyjnego, wygłosił (o „Marii" Malczewskiego).

Niebawem, już po wojnie zostałem mianowany (za rządów Moraczewskiego) członkiem komisji, powołanej do wybierania profesorów dla uniwersytetów w Warszawie i w Poznaniu. Nie wahałem się ani chwili — do Uniwersytetu Warszawskiego zaproponowałem Ujejskiego. Po kilku miesiącach nominacja nastąpiła. Było to dla mnie radością i smutkiem: radością, że Warszawa będzie miała t a k i e g o profesora literatury ojczystej, smutkiem, że nasze rozmowy niedzielne należeć będą już do przeszłości. Aleśmy się nie rozstali — obcowaliśmy z sobą listownie i prowadziliśmy długie rozmowy za każdym moim przyjazdem do Warszawy. I cóż? Poglądy nasze, zwłaszcza na sprawy bieżące, rozchodziły się nieraz, ale zgoda naszych serc nie rozchodziła się i nie rozeszła nigdy. Kochaliśmy się jak dawniej — i to właśnie dzięki temu Jego poglądowi, który zarówno Jemu, jak mnie głęboko zapadł w serce, że można się kochać, nie mając tych samych poglądów ani na sprawy społeczne, ani na polityczne, ani na filozoficzne, ani na religijne, ani nawet (o co tak trudno w Polsce) nie mając tych samych (jak to się u nas mówi) „orientacyj", — pod tym jednym warunkiem, że się będzie wierzyło w szczerość, w uczciwość i w dobrą wolę przyjaciela, i że się będzie kochało całem sercem tę sprawę, na którą ma się inne poglądy — to znaczy Polskę, i że Polska właśnie powinna zbliżać, łączyć i kojarzyć swoje dzieci, a nie oddalać ich od siebie. I oto przyjaźń, zrodzona w Krakowie, pozostała nam do samej Jego śmierci. Albo raczej i śmierć Jego dusz naszych nie rozłączyła... Tak, Drogi i Kochany Przyjacielu, ja Twojej dla mnie przyjaźni nie zdradzę nigdy,

będę jej wierny do samej śmierci. Ślubuję Ci to Tobie i Twojemu Ukochanemu Synowi, około którego za chwilę w grobie na wieki spoczniesz. I ślubuję to Twej ukochanej Żonie i Twojej ukochanej Córce, które Cię odprowadzają na wieczny odpoczynek.

Niechaj Ci lekką będzie ta Ziemia Polska, którąś Ty tak gorąco kochał i przez całe swoje życie tak wiernie jej służył.

Kraków. *Ign. Chrzanowski.*

PROFESOR JÓZEF UJEJSKI

„Tak, nie ma chyba nikogo, coby nie myślał, że... umarł przedwcześnie. Jaki kolwiek był czyj do niego stosunek osobisty, o czym kolwiek kto przy jego trumnie myślał szczególnie," ta świadomość wybijała się na plan pierwszy. Słowa te, które przed 12 laty napisał prof. Józef Ujejski po śmierci Stefana Żeromskiego, narzucały się samorzutnie wszystkim, którzy dnia 10 lipca uczestniczyli w pogrzebie zmarłego wice-ministra W. R. i O. P. Przedwczesna śmierć zabrała w pełni męskich sił człowieka, który jako badacz naukowy — choć dał bardzo wiele — nie powiedział wszystkiego, co mógł i chciał powiedzieć jeszcze. Nauka polska straciła niepowrotnie zarówno szereg ważnych osiągnięć historyczno-literackich jak i oryginalną osobowość profesora, który kroczył zawsze swoimi torami, który miał własną metodę pracy i którego stosunek do wiedzy był pełen głębokiej wnikliwości oraz opierał się na bardzo osobistym psychicznym podłożu.

Mam bowiem wrażenie, że zainteresowania historyczno-literackie prof. Ujejskiego wypływały bezpośrednio z całej jego postawy wobec życia i były potrzebą nietylko intelektu ale całej organizacji wewnętrznej człowieka. Józef Ujejski był jednostką mającą silne tendencje w kierunku idealizmu filozoficznego, tendencje, które znakomicie potęgowała atmosfera przedwojennego Krakowa, gdzie spędził połowę swego życia. Ale obok tej skłonności występuje w nim uderzający niepokój metafizyczny, który nie pozwala na pełne ale i jednostronne wchłanianie wartości życia, oświetlanie go przez pryzmat idealizmu. Budzi on krytycyzm, pcha nieraz do sceptycyzmu, wywołuje pesymistyczną reakcję, a przede wszystkim pobudza do szukania. Szukania prawdy. Tak, prof. Ujejski był człowiekiem, który całe życie szukał, a drogą, znaczącą te poszukiwania była literatura.

Sferę badań naukowych ogarnął więc cały człowiek, i stąd powaga wszystkich studiów naukowych profesora, stąd jakiś ton dostojeństwa, stąd też niezbyt chętne szafowanie piórem. A przy tym, choć punkt wyjścia badań był często bardzo podmiotowy, nigdy subiektywizm w świadomości twórcy nie miał być rezultatem w dociekaniach. Ujejski szukał prawdy, dlatego też nie chciał być po przez naukę popularyzatorem jakichś idei, ani — co jeszcze ważniejsze — nie myślał za pomocą nauki moralizować. W ten sposób uniknął niebezpieczeństw, które w dziejach polskiej historii literatury dawały się bardzo we znaki. A przy tym prof. Ujejski miał wybitne poczucie sumienności naukowej, która nasuwała mu się nawet wów-

czas, gdy nie chciał występować jako człowiek nauki. Tak było np. z ostatnią książką Ujejskiego, wydaną w roku ubiegłym, z pracą „O Konradzie Korzeniowskim". Powstała ona jako rezultat wybitnie subiektywnego zbliżenia się profesora do Conrada, po straszliwym ciosie życiowym, jaki go dotknął: tragicznej śmierci syna lotnika. Nie mógł wówczas i nie chciał być naukowcem; szczerze spowiada się z tego przed czytelnikiem w przedmowie: „Cel tej książki jest bardzo skromny. Nie stać mnie na „monografię naukową" o Korzeniowskim... Sam będąc pod wrażeniem tej wielkości, przyjąłem ją w pracy swojej jako aksjomat i tylko tym, co ją czują jak ja... zapragnąłem po prostu dać o nim trochę informacji, jakie zebrałem, zaspakajając ciekawość własną — nie naukową, tylko... zwyczajnie ludzką". Stanowisko wyraźne — a jednak i tutaj nie mógł się powstrzymać od zastosowania dyscypliny naukowej: „Nałóg zawodowca — dodaje w tej samej przedmowie prof. Ujejski — coś tutaj znaczył. Kiedy postanowiłem pisać, to już i zacząłem się poczuwać do *obowiązku dokładności* w tym, co piszę, a zatem do sprawdzania swych wrażeń i uzupełniania swych wiadomości, jak tylko mogłem". Pobudzony też tą pasją „obowiązku dokładności" przestudiował całą korespondencję Conrada, literaturę o nim, a nawet pojechał do Anglii, aby zetknąć się z żoną Korzeniowskiego i od niej zebrać szereg informacji. Ta sumienność naukowa, przebijająca z każdej stronicy książek prof. Ujejskiego, to ścisłe informowanie czytelnika, gdzie kończą się pewniki, a gdzie zaczyna hipoteza, to rozległa i różnostronna wiedza — nadają pracom tego badacza uderzającą rzetelność i wagę rzeczy obiektywnych. Ponieważ — jak zaznaczaliśmy — zbliżenie prof. Ujejskiego do literatury związane było z całą jego organizacją psychiczną, przeto uderza w badaniach jednolitość tematów i konsekwencja w ich ujmowaniu. Ujejskiego zajmuje głównie sfera poglądów filozoficznych pisarzy i poetów i na nią też kładzie główny nacisk w swych opracowaniach. Nie znaczy to, by świat sztuki był mu obcy, by zagadnienia artystyczne go nie zajmowały — owszem odczuwał je i rozumiał doskonale i niejednokrotnie z subtelną wnikliwością umiał je rozwijać w swych pracach. Ale sfera myśli jednak była mu niewątpliwie najbliższa i jej poświęca większość swych wysiłków. Nie odwodzi go od obranej drogi fakt, że rozważania tego rodzaju stają się niemodne w pewnych kołach naukowych, że nawet podważa się ich celowość w badaniach historyczno-literackich. Prof. Ujejski rozumiał, że bez zbadania dorobku myślowego naszych twórców, bez zorientowania się w jego oryginalności, bez dokładnego wyjaśnienia problematyki ideowej dzieł, nie ma mowy o istotnej wiedzy o literaturze; że wszystkie inne metody, inne odcienie badań na tej podwalinie jak na fundamencie muszą się z konieczności iprzeć.

Jeśli chodzi o epokę, to głównie romantyzm polski zajął uwagę prof. Ujejskiego. Dał on kilka świetnych studiów o Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, dał wyczerpującą monografię o Malczewskim, w której szczególnie wymownie przedstawił charakter pesymizmu tego poety w zestawieniu z pesymizmem Schopenhauera, Leopardiego i Byrona, a przede wszystkim zajął się ważnym, choć niezwykle skomplikowanym zagadnieniem mesjanizmu polskiego.

Niezależnie od tego, jakikolwiek mamy stosunek do ideałów mesjanistycznych XIX w., niezależnie od krytyki, czy nawet głosów potępienia—

dwie rzeczy są pewne, 1-o, że nikt nie może lekceważyć tego ruchu; usunięcie go bowiem czy nieuwzględnianie przekreśla odrazu całe etapy naszej kultury epoki romantycznej. Ideały mesjanistyczne zazębiały się o wszystkie, dosłownie wszystkie dziedziny życia zbiorowego, i echa ich nietylko wiązały się z zagadnieniami narodowymi, czy społecznymi, lecz piętno swe wywierały na czynniki obyczajowe, na moralność, na zjawiska ekonomiczne nawet. A 2-o, że przed pracami prof. Ujejskiego mesjanizmu nie znaliśmy istotnie. Badacze, poza kilku wyjątkami, operowali skrótami, jaskrawymi uproszczeniami, które często nie miały wiele wspólnego z istotą rzeczy. A działo się tak dlatego, że mało kto ośmielał się wejść w ten niesłychanie zawiły gąszcz zjawisk mistycznych, splątanych genetycznie z całą historią ruchów religijnych, z prądami filozoficznymi, z dziejami nauk tajemnych, alchemią, okultyzmem, kabałą itd. itd. Nie małą też tu rolę odgrywały zjawiska polityczno-socjalne, które stale towarzyszyły mistyce. Prof. Ujejski postanowił zbadać możliwie wszechstronnie dzieje mesjanizmu polskiego i praca ta miała być głównym zrębem jego działalności naukowej. Zanim przystąpił do tematu właściwego, do epoki romantycznej, postanowił poznać korzenie tego ruchu. Zajął się więc mistyką wieku XVIII, dając książkę pt: „Król Nowego Izraela" — rzecz o mistyku Tadeuszu Grabiance, staroście liwskim, potem przyszła praca o Hoene-Wrońskim zatytułowana: „O cenę absolutu" i wreszcie — poza szeregiem drobniejszych rozpraw — w r. 1931 ukazało się zasadnicze studium: „Dzieje polskiego mesjanizmu".

Książka ta stanowi jedną z najbardziej istotnych i zasadniczych pozycji naukowych w dziedzinie historii literatury XIX w. Prof. Ujejski rewelacyjnie ustala tutaj szereg podstawowych zjawisk, wyłuskując z uderzającą prostotą i jasnością z całej gmatwaniny poglądów linię ewolucyjną polskiej myśli mesjanistycznej. W książce tej szczególnie może uderza wysiłek obiektywizmu, rezerwa krytyczna, przy jednoczesnym odczuciu wagi przedstawiających zjawisk i wreszcie wybitny zmysł historyczny, tak zasadniczy dla badacza nauk humanistycznych. Opisując te dziwne prądy, uderzające nas swą niezwykłością, czy nawet niesamowitością, prof. Ujejski ma zawsze na myśli epokę, w której się one rozgrywały: w tym czasowym zespole różnorodnych czynników życia harmonizują się one w jednolity nurt, mający swoje racje, swą wymowę, realny cel i nawet swoje twórcze perspektywy. Tylko — i tu szczególnie ze względów naukowych uderza nas tragizm przedwczesnej śmierci prof. Ujejskiego, — tylko że wydane „Dzieje mesjanizmu polskiego" stanowią pierwszą część całości i rzecz doprowadzają zaledwie do powstania listopadowego włącznie. Następne części, do których materiały prof. Ujejski miał niemal całkowicie przygotowane — nie ukazały się i nie ukażą się już nigdy.

Ale dorobek naukowy prof. Ujejskiego i tak imponuje bogactwem treści, rozległością omawianych tez, wreszcie nawet swoimi rozmiarami; liczne jego studia obejmują różne okresy literatury polskiej od w. XVI aż po wiek XX. Prof. Ujejski jest też jednym z tych zasłużonych badaczy, którzy przynieśli niezapomniane zdobycze polskiej kulturze narodowej. Chcemy tu z całą siłą zaakcentować polski charakter badań zmarłego profesora, gdyż czynnik narodowy z wyjątkową żarliwością kultywował on przez całe życie. Gdy w r. 1905 drukował swą pierwszą rozprawę o Reju, dał jej tytuł: „Pojęcia Reja dotyczące Polaka i Polski", w ostatnim swoim

studium o Konradzie Korzeniowskim jeden z rozdziałów zatytułował: „Conrad i Polska", jest to jak gdyby klamra, zamykająca w jedną całość dorobek naukowy.

Nacjonalizm dla prof. Ujejskiego był — jak brzmi tytuł jednej z jego prac — zagadnieniem etycznym: łączył się z poczuciem odpowiedzialności wobec człowieka, łączył się z szacunkiem dla innych kultur narodowych, był ostrogą surowego sądu wobec siebie i własnego społeczeństwa, ale jednocześnie zespalał się z poczuciem, że nasza odrębność narodowa — której często Ujejski poszukiwał—ma swoją wagę, ma moc żywą i twórcze perspektywy.

Życie profesora Ujejskiego i jego działalność naukowa świadczą, jak głęboko odczuwał on godność Polaka. W pamięci też tych wszystkich, którzy go znali, którzy z nim współpracowali i których on uczył, postać Profesora pozostanie jako zjawisko szlachetności ducha.

Warszawa. *Zygmunt Szweykowski.*

PREHISTORIA POLSKIEGO WIERSZA TONICZNEGO

Ogłoszony przez dr Karola Badeckiego tom tekstów „Polskiej liryki mieszczańskiej" [1], tj. trzynastu zachowanych zbiorków popularnych pieśni z XVII wieku, nader ciekawy pod każdym względem, pozwala między innymi na bliższe poznanie jednego z zagadkowych okresów wersyfikacji polskiej.

Już Łoś [2], który zresztą znał kilka tylko z tych zbiorków, zauważył, że liczne w nich wiersze mają „mniej zwykłe postaci rytmiczne". Oto np. w pieśni 7 zbiorku „Pieśni i tańce" z 1614 r. „pierwsze trzy czterowierszowe zwrotki składają się z wierszy 8+5, a następne dwie — z wierszy 7+5"; w pieśni 6 tegoż zbiorku pierwsza zwrotka 4-wierszowa składa się z dwóch 11-zgłoskowców, 10-zgłoskowca i 9-zgłoskowca; dwie następne z samych 9-zgłoskowców; ostatnia — z jednego 10-zgłoskowca i trzech 9-zgłoskowców. Analogiczne zjawiska dzięki publikacji Badeckiego możemy obserwować teraz w znacznie większej liczbie wypadków.

Cóż to za zwrotki, które raz się mogą składać z wierszy 13-zgłoskowych, a innym razem z 12-zgłoskowych, albo dowolnie wymieniać wiersze liczące po 11, 10 lub 9 zgłosek? Łoś skłonny był widzieć w nich poprostu „błędy rytmiczne", wynik „roboty niezawsze... artystycznej". Ale brak poczucia artystycznego nie wydaje się prawdopodobny, gdy mamy przed sobą tak wysoką, jak wszędzie prawie w tych zbiorkach, kunsztowność stroficz-

---

[1] Polska liryka mieszczańska. Pieśni — tańce — padwany. Pierwsze zbiorowe i krytyczne wydanie. Opracował dr Karol Badecki. Osobne odbicie z wyd. Tow. Naukowego we Lwowie pt. „Zabytki piśmiennictwa polskiego", t. VII. Lwów 1936.

[2] Jan Łoś: Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju, [1920], str. 123 i nast.

ną. Uderzająca przytem jest ta okoliczność, że w bezimiennych zbiorkach pieśniowych spotykamy się z kilku przedrukami z „Roksolanek" Zimorowica i w tych przedrukach niektóre wiersze są rytmicznie zmienione; zmian tych n. b. jest tak znaczna ilość i tak są wszystkie charakterystyczne, że niepodobna tłumaczyć je pomyłkami albo dowolnością. Tak np. zwrotki „Roksolanki" II 4 („Trafiło się w chłodzie), umieszczonej jako „taniec" XXI w „Kole tańca wesołego", zamiast żeby, jak w tekście Zimorowica, kończyć się wierszami 10-zgłoskowymi (4+6), kończą się albo wierszem 7+5, albo 6+5. Sam Łoś kilka takich zmian opisał, tłumacząc ich genezę przystosowaniem poezji do śpiewu.

Istotnie, związek tych tekstów z muzyką jest najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem ich wersyfikacyjnej osobliwości: nie w tym jednak sensie, aby melodia narzucała konieczność ujmowania lub dodawania zgłosek („przykrawania", jak Łoś się wyrażał): raczej w tym, że dawała pod tym względem znaczną swobodę, z której też korzystano, myśląc raczej o efektach ekspresji muzycznej, niż o zgodzie z zasadami wersyfikacji „literackiej". Naturalnie, i ta swoboda miała swoje granice i swoje nie sformułowane nigdzie, ale instynktowo wyczuwane zasady. Liczba zgłosek mogła się wahać, ale miała swoje minima i maxima; decydujące znaczenie musiała mieć ilość akcentów (analogicznych do akcentów muzyki). W pewnym więc sensie owi pieśniopisowie byli prekursorami dzisiejszych poetów, piszących wiersze toniczne.

Zupełnie też nowocześnie pod względem wersyfikacyjnym brzmi taka np. zwrotka tańca 7 ze zbiorku „Dama":

Tobie oczy darował || sokół bystrooki,
Wenus wdzięczności przydała, || Kupido ochoty.
Zęby perłom uryjańskim, || a zaś usta koralowi,
Brwi podobne czarnemu || nader gagadkowi.

Sylabiczny schemat tej zwrotki wygląda jak następuje:

7 + 6
8 + 6
8 + 8
7 + 6

Schemat natomiast układu akcentów grupowych da się we wszystkich wierszach określić jednakowo, jako 3+2.

W innych zwrotkach tej pieśni jeszcze większa rozmaitość co do liczby zgłosek; zdarza się w nich i wiersz 12-zgłoskowy („Niemasz gładszej nad cię, przyzna każdy w świecie") i 11-zgłoskowy („Niechajże mię stąd letni aniołowie"); a przecież wszystkie te wiersze są tu traktowane jako spółmetryczne. Czy to nie dla tego, że wszystkie mają po 5 akcentów?

Podobnież np. w „padwanie" 19 zbiorku „Pieśni i tańce" z 1614 r. jako spółmetryczne występują wiersze liczące po 13 zgłosek („Ach, ach, bez ciebie miła i to jeszcze mało"), zarówno jak i po 14 („Ach, ach, przecię ty nic nie dbasz, chocia cię miłuję").

A oto z pieśni 28 w zbiorku „Piękna i wesoła uciecha", pochodzącym z końca już XVII wieku, odpowiadające sobie drugie połówki kilku zwrotek czterowierszowych (zaznaczony przy każdej schemat sylabiczny dowodnie wskazuje, że nie liczba zgłosek stanowi tu o spółmetryczności):

Że nie czuję sił i dusze, (8)
Umierać muszę. (5)

A nie masz, ktoby choć trochę wody (10)
Dodał, ochłody. (5)

I sam się w trosce w potok też rozpłynę, (11)
Od tej zaginę. (5)

Zauważmy, że przy takiej rozmaitości w liczbie zgłosek liczba akcentów jest tu stała: w każdym dłuższym wierszu mamy ich 4, jak w każdym krótszym 2.

Przejrzenie pod tym kątem i innych zbiorków dostarczy dość dowodów, na których zasadzie możemy „prehistorię” polskiego wiersza tonicznego z czasów poezji romantycznej, od których rozpoczyna dzieje polskiego „tonizmu” p. F. R. Siedlecki [1], cofnąć do wieku XVII. Oto jeszcze przykład, z tego samego zbiorku „Piękna i wesoła uciecha”, tym razem z utworu (nr 5), w którym wiersze się wyraźnie dzielą na drobniejsze cząstki (uwydatnione rozczłonkowaniem składniowym i rymami wewnętrznymi):

Tam tedy poznasz, || moja kochaneczko, || jakowe są rany,
Kochać serdecznie, || hołdować wiecznie, || a nie być ukochany.
Mścić się nie będę, || moja kochaneczko, || zlecę to miłości,
Niechaj zażywa, || kiedy jest mściwa, || nade mną srogości.

Schemat sylabiczny jest tutaj taki:

5 + 6 + 6
5 + 5 + 7
5 + 6 + 6
5 + 5 + 6

a jednak wszystkie te wiersze są tu najwyraźniej spółmetryczne. Czym się to dzieje? Chyba tym, że każdy odcinek ma po 2 wyraźne akcenty grupowe.

Oto więc wersyfikacja, która była poprzedniczką wersyfikacji Kasprowicza (z „Księgi ubogich”) i skamandrytów. Oczywiście, obok podobieństwa jest pomiędzy nimi i wielka różnica. Bardzo być może, że autorowie zbiorków siedemnastowiecznych mieli całkowitą artystyczną świadomość swojej techniki wersyfikacyjnej (nie wiemy o tym na pewno, ale nie mamy też i podstaw, żeby przeczyć), dziedzina jednak, w której tę technikę stosowali, była ograniczona: stanowiły ją tylko utwory przeznaczone do śpiewu. Był to tonizm wyłącznie meliczny i na terenie literatury „czystej” nie ujawniał ambicyj zdobywczych. To też nie możemy go wliczać do historii, ale tylko do prehistorii polskiego wiersza tonicznego.

Inna rzecz, że w literaturze pieśniowej zasiąg tego tonizmu był bardzo rozległy: ogarnął on m. i. i część „Roksolanek”. Stąd to właśnie pochodzą te zjawiska, którym Łoś się tak dziwił: że jako spółmetryczne występują tam wiersze o różnej liczbie zgłosek (ów np. 9-zgłoskowiec w „Roksolance” III 4, „zastąpiony w kilku zwrotkach przez 5+5, a nawet raz przez 5+6”). Zjawiska te są zbyt liczne, żeby je można określić jako „błędy” czy „usterki w wersyfikacji”, a Zimorowic jest zbyt jawnie świetnym artystą, żebyśmy go mogli z Łosiem podejrzewać o „zwichnięte” poczucie rytmu i o „niemożność doskonałego opanowania form skompliko-

---

[1] Franciszek Siedlecki: Jeszcze o sprawach wiersza polskiego, «Przegląd Współczesny» nr 173, str. 85.

wanych a nowych". Orientacja w jego wersyfikacji była, trzeba przyznać, trudna, gdyż, będąc związany z pieśniarstwem swoich czasów, był on jednak w znacznie większej mierze artystą-pisarzem, przejętym tradycyjną wersyfikacją literacką; stąd spółmetrycznymi są u niego w ogromnej większości wypadków wiersze o równej liczbie zgłosek. Stosunkowo nieliczne wypadki odmienne nasuwały naturalnie wątpliwości. Ich rozjaśnienie przyniósł właśnie korpus popularnej liryki siedemnastowiecznej.

Tradycja tonizmu melicznego nie wygasła zresztą w wieku XVII. Prawda, że w stuleciu następnym doszło do znacznie większego zbliżenia pomiędzy pieśniarstwem popularnym i poezją artystyczną, wskutek czego równa liczba zgłosek upowszechniła się jako zasada spółmetryczności wierszy nawet w pieśniach. Bywały wszelako i wyjątki. Nie wliczałbym do nich utworu Węgierskiego „Do Pana Porucznika", którego czterowierszowe zwrotki składają się z najzupełniej nieregularnie mieszanych dziewięcio-, ośmio-, siedmio- i sześcio-zgłoskowców, bo to chyba humorystyczne naśladowanie niedołężnej rytmoidycznej wersyfikacji imieninowej, jakiej pewno zawsze sporo produkowali amatorzy - grafomani. Inna jednak już sprawa z wierszem Józefa Szymanowskiego „Do Ismeny", utworem o charakterze wyraźnie pieśniowym.

Oto jego tekst wraz z wyznaczonym obok schematem sylabicznym [1].

[1]

Długo nie znałem (5)
Co to kochanie, (5)
Za bajkę miałem (5)
Czułego serca wzdychanie. (8)

[2]

Ah Ismeno miła. (6)
Jeszczem był dopóty (6)
Nie znał co za siła (6)
Wdzięków i cnoty. (5)

[3]

Miłość to dziecie (5)
Nadobnéj bogini, (6)
Które na świecie (5)
Śmiechem raniąc, tkliwym czyni. (8)

[4]

Z matką się zmówili (6)
Na twoje wybranie, (6)
Chcąc, by doświadczyli (6)
Wszyscy co kochanie. (6)

[5]

Piękność przymioty (5)
Swoje ci dała, (5)
Wdzięki, pieszczoty, (5)
Kształt twojego ciała. (6)

[6]

Miłość zaś czatuje (6)
Na zwrót oczu tkliwy, (6)
I za nim kieruje (6)
Strzałę z cięciwy. (5)

[7]

Ja pierwszy świadkiem (5)
Jaka wasza siła, (6)
Ledwieś przypadkiem (5)
Oczy swe na mnie zwróciła. (8)

[8]

Zaraz zacząłem (5)
Podlegać odmianie, (6)
Odeszłaś; westchnąłem! (6)
Znam co kochanie. (5)

Jak wiadomo, Szymanowski nawet wśród spółczesnych sobie klasyków miał opinię wielkiego rygorysty stylistycznego, mowy więc być nie może o jakichkolwiek „usterkach", czy „zwichnięciach" poczucia rytmu. Utwór (jedyny tego rodzaju w zbiorowym wydaniu Szymanowskiego) jest oczywiście stylizowany na starą pieśń i doskonale utrzymany w tym charakterze: w każdym wierszu mamy dwa silne akcenty grupowe, liczba zgłosek waha się od 5 do 8. Rzeczy zupełnie podobne widzieliśmy w pieśniach

[1] Józef Szymanowski: Pisma różne, 1803, str. 98.

z wieku XVII. Widocznie były one śpiewane i w wieku następnym i nie musiały być gatunkiem pogardzanym, skoro okazał dla niego zainteresowanie tak wybredny esteta, jak Szymanowski.

U innych wybitnych poetów XVIII wieku nie zdarzyło mi się z podobnymi wierszami spotkać. Tonizm meliczny nie wygasł jednak i wtedy. Przygarnęli go libreciści operowi, układacze i tłumacze piosenek wodewilowych. Przerzućmy bodaj dwutomowy zbiór „Śpiewów i aryj" wydany w r. 1816[1]. Przeważają tam olbrzymio zwrotki, w których czynnikiem spółmetryczności wierszy jest równa liczba zgłosek. Tu i ówdzie jednak zdarzają się też zwrotki, w których jako spółmetryczne występują wiersze o liczbie zgłosek rozmaitej: zupełnie jak w pieśniach siedemnastowiecznych. Oto dla przykładu pierwsze dwie zwrotki „arii Julii" (z jakiejś opery o tytule nie wymienionym):

[1]

Uchodźmy z tego zgiełku, skryjmy się w ustronie. (13)
Nadzieje, żale i łzy złóżmy w jego łonie; (13)
Nie z igraszkami w parze miłość smutna chodzi, (13)
Cicha tylko samotność jej troski łagodzi. (13)
Przy tych drzew poważnych cieniu (8)
I w tym mruczącym strumieniu, (8)

[2]

Będę płakać, niechaj jego zdroje (10)
Niosą memu lubemu moje niepokoje. (13)
O jak są różne czasy od dawnych dzisiejsze! (10)
Pomyślności niepewne, nieszczęścia pewniejsze. (13)
Ojciec niebaczny na méj duszy mękę (11)
Chce, bym innemu oddała mą rękę. (11)

W zwrotce trzeciej tylko trzeci wiersz jest 11-zgłoskowy, wszystkie inne — 13-zgłoskowe. Czy to nie kontynuacja wersyfikacji znanej nam ze starych zbiorków „liryki mieszczańskiej"?

Prehistoria tonizmu, jak się okazuje, była wcale długa i da się prześledzić aż niemal do początków jego historii. Mówiąc inaczej: jego możliwość w materiale językowym była wyczuwana i nawet wyzyskiwana oddawna. Działo się to jednak tylko na peryferiach literatury. Dopiero późniejsi poeci nadali mu pełne obywatelstwo literackie.

Warszawa. *Wacław Borowy.*

---

[1] Śpiewy i arie teatralne i światowe z różnych oper i komedyj zebrane, z dodatkiem nowych śpiewów i krakowiaków, Warszawa 1816. Utwór cytowany dalej: t. I, str. 36

WIEDZA O WIERSZU POLSKIM

Do niedawna dziedzina badań nad wersyfikacją była u nas wręcz haniebnie zaniedbana. Zaniedbania tego mogły być dwa powody. Jednym się ta dziedzina wydawała może zbyt trudną i zagmatwaną, więc bali się większego naukowego wysiłku. Drudzy, przeciwnie wyobrażali sobie — albo też przez brak poczucia obowiązkowości sugerowali sobie i innym— że to jest dziedzina tak łatwa, że znajomość jej można sobie przyswoić, wedle powiedzenia angielskiego, at breakfast. Poprostu policzyć na palcach zgłoski, coś tam wspomnieć o średniówce i rymie, a czasem bąknąć jakąś nazwę zapamiętaną ze szkolnej gramatyki łacińskiej — i to już będzie cała „wiedza" wersyfikacyjna! Stąd też poszło, że w badaniach nad wersyfikacją, jej dziejami, istotą, znaczeniem, klasyfikacją itd. staliśmy w tyle za Niemcami, Rosjanami, Francuzami, Włochami, a nawet za Czechami [1]. Od kilku lat zaczęła się nakoniec zmiana na lepsze, a rozproszone dawniej, dziś już skupiające się wysiłki kilku badaczy stworzyły już pewną bazę badań prawdziwie poważnych.

Zanim w odrębnym artykule zobrazuję całokształt polskich badań nad wersyfikacją, prowadzonych w ciągu lat kilku ostatnich (gdzie na czoło wysuną się prace J. Kleinera i F. Siedleckiego [2], jako najbardziej pionierskie i najbardziej utrzymujące kontakt z nauką europejską), osobno omówić pragnę książkę K. W. Zawodzińskiego [3], która już samym tytułem zdradza chęć ujęcia jednocześnie podstawowego i syntetycznego polskich (i nietylko polskich) spraw wersyfikacyjnych. Książka ta zasługuje na uwagę odrębną i z tego względu, że wyszła spod pióra jednego z najbystrzejszych i najbardziej czynnych krytyków polskich — i to krytyka, którego poglądy i teorie cieszą się w Polsce wielkim autorytetem — wobec czego być może, że ona sama stanie się dla wielu bezwzględnie autorytatywnym podręcznikiem wiedzy o wierszu. Tymczasem przy wszystkich niewątpliwie znacznych zaletach posiada pewne braki i usterki, których wytknięcie bynajmniej nie ma na celu obniżania zasług samego autora.

Więc najpierw o zaletach. Pierwszą jest znaczne o c z y t a n i e autora w odnośnej l i t e r a t u r z e n a u k o w e j (i nietylko zresztą naukowej) najpierw polskiej, następnie zaś obcej. Drugą zaletą jest — m u z y c z n e wykształcenie, czego niestety nawet w minimalnym stopniu nie posiadali różni ludzie zabierający u nas głos w sprawach wersyfikacji. Trzecia rzecz chwalebna u Zawodzińskiego — to jego b e z p o ś r e d n i k o n t a k t z właściwymi fachowcami w dziedzinie wersyfikacji, a mianowicie l u d ź m i p i s z ą c y m i w i e r s z e, p o e t a m i; niestety dawniejsi badacze literatury, choć o wierszu pisać chcieli, zazwyczaj nie chcieli

---

[1] Pracowita i imponująca ilością zebranego materiału książka Łosia, do której zaglądać będzie musiał każdy badacz wersyfikacji, grzeszy brakiem znajomości prac zagranicznych, zawiera wiele błędów rzeczowych (zwł. w odniesieniu do średniowiecza).

[2] Franciszek Siedlecki. Studia z metryki polskiej. Wilno 1937, t. 1, 2.—Wiele (11) cennych rozpraw o wierszu nie tylko polskim zebrano w świeżo wydanej księdze: „Prace ofiarowane K. Wóycickiemu". Wilno 1937, s. 491, gdzie piszą: Borowy, Grzędzielska, Hrabák, Jakobson, Knryłowicz, Podhorski, Siedlecki, Trubeckoj, Zawodziński i inni.

[3] Karol W. Zawodziński, Zarys wersyfikacji polskiej. Część I. Wiadomości wstępne o wierszu. Wilno 1936, str. 105. Z zagadnień poetyki.

się przyjrzeć ani uświadomić sobie, jak właściwie poeta wiersz tworzy, jakiej techniki używa w tworzeniu. Czwartą zaletą i zasługą książki Zawodzińskiego jest rzetelne i systematyczne dążenie do ustalenia polskiej terminologii wersyfikacyjnej, a więc do wyprowadzenia polskich badań literackich z tego zamętu, jaki dawała różnorodność i różnoznaczeniowość terminów. Piątą zaletą książki omawianej, jest jej — że tak się wyrażę — „czytelność". Nie należy książka Zawodzińskiego do typu suchych i ciężkich dzieł, nad którymi się ziewa, albo które czytać będą tylko cierpliwi specjaliści; jest przystępna, pisana żywo, ma prócz naukowych wartości także wartość literacką.

A teraz o wadach. Uszykuję je w porządku równoległym do wymienionych powyżej zalet. Znajomość europejskiej literatury dotyczącej dziejów i istoty wiersza, jest tu trochę jednostronna. Zawodziński właściwie uwzględnia tylko badania Francuzów i Rosjan, pomija natomiast daleko ważniejsze badania niemieckie i najważniejsze, tj. angielskie. Stąd trafiają się u niego znaczne luki i niedokładności, zarówno w informacjach historycznych (przede wszystkim w odniesieniu do średniowiecza), jak i rzeczowych.

Innego rodzaju jednostronność wchodzi w grę, gdy sprawa o kontakt z poetami. Wymienia Zawodziński dwa nazwiska poetów współczesnych, którzy istotnie nietylko praktycznie (w swej twórczości), ale i teoretycznie zajmują się wierszem. Ale godzi się wspomnieć, że takich poetów mamy w Polsce jeszcze kilku[1] — i to zasilających się w danej kwestii nietylko obserwacjami wyłącznie z literatury francuskiej i rosyjskiej (oraz częściowo romantyczno - niemieckiej), ale znających też z bezpośredniej styczności źródła inne, więc bądź poezję antyczną, bądź różne średniowieczne, bądź wreszcie i dziedzinę, niestety zgoła nie uwzględnioną w badaniach Zawodzińskiego: retorykę starożytną, bez której poznania i gruntownej znajomości nie wolno dziś zabierać głosu w wielu sprawach wersyfikacyjnych (np. w sprawie rymu).

Terminologia, wprowadzana przez Zawodzińskiego, w paru względach wymagałaby korektury, zważywszy, iż pewne terminy mogą narzucać mylne skojarzenia. Tyczy się to przede wszystkim terminu: m e t r u m. Zawodziński używa go w znaczeniu ogólnym, w zastosowaniu do wszelkich typów wiersza. Natomiast nazwa metrum ściśle związana jest z poezją m i a r o w ą, metryczną, kwantytatywną, więc możemy mówić o metrum pieśni Horacego, nie powinniśmy mówić o metrum ballad Mickiewicza; trzeba więc termin proponowany przez Zawodzińskiego zastąpić innym, trafniejszym.

Co do potoczystości stylu, którą pochwaliłem, zrobię zastrzeżenie, że niekiedy niepotrzebnie przeradza się ona w ton gawędziarski, gdzie nawet osobiste wspomnienia autora wybijają się ponad inne. To dobre w felietonach, ale w książce mającej charakter instruktywny, może trochę zbija z tropu czytelnika.

Po tym ogólnym bilansie plusów i minusów, zajmę się szczegółami książki, przechodząc je w tym porządku, jaki nam wskazuje sam jej układ.

---

[1] Najtęższy z nich, Porębowicz, genialny poeta-tłumacz i najznakomitszy badacz literatur świata, jakiego miała kiedykolwiek Polska, niestety już nie żyje...

Na str. 24 autor mówi o swym projekcie napisania większego dzieła w czterech częściach. W książce przez nas omawianej dał tylko „część pierwszą", poprzedziwszy ją bardzo obszerną przedmową. W przedmowie tej nietylko zwierzył się ze swych pobudek i zamiarów, ale — co może ważniejsze — zobrazował pewne dążności badawcze swoich poprzedników (z Rowińskim, Wójcickim i Łosiem na czele), przeciwstawiając im swoją dążność i metodę.

W „części pierwszej", stanowiącej istotną część książki, autor dał „wiadomości wstępne o wierszu", gdzie zajął się definicją wiersza, rytmiczności, prozodii, rymu, strofiki i heterometrii, rozróżnieniem pojęć wiersza, „metrum" i metryki, wiersza i prozy, stosunkiem rozczłonkowania treściowego (nb. i syntaktycznego) do rozczłonkowania wierszowego, a wreszcie znaczeniem artystycznym wiersza. Każdemu z tych zagadnień natury teoretycznej poświęcił jeden rozdział; trochę niespodzianie wsunął pomiędzy te rozdziały, rozdział o charakterze historycznym, zatytułowany: „Metryka porównawcza"; słuszniej pono byłoby zatytułować go „Zwięzłe dzieje wersyfikacji" i umieścić na czele całej „części I" lub na jej końcu.

Tym rozdziałom o sprawach natury teoretycznej, często terminologicznej, poświęciłem już parę słów poprzednio. Poza szkopułem w sprawie zastosowania nazwy „metrum", wysunę tu jeszcze kilka drobnych obiekcji. Dotyczyć będą one przede wszystkim rymu. Mylnie objaśnia Zawodziński na str. 50 „samo słowo r y m" jako (rzekomo) pochodne od wyrazu „rytm"; zapewne zwiodła go „etymologia ludowa", która przebija w rosyjskim nazwaniu rymu — rifma (рифма). Tymczasem w istocie podobieństwo nazw jest czysto przypadkowe. Rym (zwany przez Gorgiasza, Cycerona i Donata: homoioteleuton = podobieństwo zakończeń) z a m y k a ł w retoryce greckiej i rzymskiej klauzule zdaniowe; stąd też stara jego nazwa grecka rhygma (ῥύγμα) = zamknięcie, zapora. Nazwa rhygma (spotykana na oznaczenie wierszy rymowanych m. in. w poezji polsko-łacińskiej XV w.) dała w języku włoskim pochodny wyraz: la rima, gdy rytm znaczy: il ritmo („Rime e ritmi" brzmi tytuł jednego z tomów Carducciego); podobnie jest i w innych językach. Trochę za krótko, bez wdawania się w szczegóły, ujął autor sprawę odchyleń od czystego typu rymów; może to i dobrze, gdyż sprawa to jest zbyt skomplikowana i da się wyjaśnić raczej tylko na podłożu historycznym; na pochwałę trzeba powiedzieć, że Zawodziński daje trafne pojęcie asonansu (= zgodność samogłosek), czym położy napewno kres mylnemu, a rozpowszechnionemu zwyczajowi nazywania „asonansem" wszystkiego, co nie jest rymem dokładnym.

Sprawę średniówek stara się autor objaśnić najwszechstronniej, dając dużo materiału dyskusyjnego, ale jeszcze wiele rzeczy prosi się o dyskusję w tej materii; zwłaszcza sprawa akcentu u c z u c i o w e g o lub też nacisku z d a n i o w e g o, który przygłusza lub zatrzymuje (lub przeciwnie: przyspiesza) tok zdania; z cytowanych na str. 106 przykładów będzie w takim retardatywnym tonie („cedzenie wyrazu") wygłoszone, dajmy na to, zdanie: „Spieszyłem znowu j a k - n a j - z i m - n i e j dyskutować".

W rozdziale dotyczącym h i s t o r i i wiersza, braki uderzają przede wszystkim, gdy chodzi o wersyfikację średniowieczną. Nie wyjaśnił Zawodziński, co znaczą „leoniny" (nb. te dwukrotnie rymowane heksametry znane już były przed średniowieczem). Zbyt ogólnikowo i ryczałtowo mówi

o „wierszach ułożonych sposobem średniowiecznym" (str. 50), gdy tych „sposobów" było bardzo wiele, tyle, że co do różnorodności wersyfikacyjnej mogą się ze średniowieczem mierzyć tylko dwa okresy literatury świata: starożytna Grecja ze swoją liryką oraz dopiero... wiek XIX. Zgoła nieścisłe są informacje Zawodzińskiego (str. 51) o hymnodii grecko-bizantyńskiej.

Niezupełnie ścisłe są też jego informacje, gdy chodzi o jawiące się w różnych literaturach nowożytnych próby naśladowania (oczywiście tylko przybliżonego, i to niekoniecznie bardzo przybliżonego) wersyfikacji antycznej. Tak np. Carducci (o którym mowa na str. 56) wcale nie dawał „zgłosek akcentowanych na miejsca przewidziane dla długich przez schemat metryczny". Wystarczy porównać jego „zwrotkę alcejską" z alcejską zwrotką Horacego, by przekonać się, że poeta włoski wcale nie zważa na akcenty, poza zakończeniem dwóch pierwszych wierszy, które (wbrew Horacemu zresztą) czyni... proparoksytonicznym! A już „pentametr" Carducciego (mający zakończenia... paroksytoniczne!) zupełnie odbiega od starożytnego.

Pewnych wyjaśnień wymagają też uwagi (str. 61) o „odstępstwach", jakie dostrzega Zawodziński w niektórych typach wiersza angielskiego. Odstępstwa te istnieją nietylko w angielszczyźnie. Poważną rolę odgrywa tu „prawo pierwszego taktu" wierszowego, o którym jeszcze wypadnie mi szerzej pisać. Wspomnę, że w początku wiersza i polska rytmika sylabiczno-toniczna ma prawo się przełamać:

Idzie samotna dusza polem (nie: **idzie!**).

Grecka poezja, od Homera i Sofoklesa, za nią rzymska itd. aż do niemieckiej (np. dramaty Schillera) dają tysiączne przykłady tych „dowolności" czy „odstępstw" właśnie w początkowej cząstce wiersza. Zatrącałem o to kiedyś w jednym z artykułów w „Ruchu Literackim".

Także wspomniałem poprzednio — w innym artykule — o sprawę średniówki w polskim 13-zgłoskowcu (o której to sprawie pisze Zawodziński na str. 70). Oto, jak słusznie wykazał najtęższy u nas znawca łacińskiej poezji średniowiecznej, prof. Ganszyniec, nasz „bohaterski" 13-zgłoskowiec jest polską recepcją t.zw. „versus vagorum", najpopularniejszej formy wierszowej, używanej przez włóczących się goliardów, mającej schemat rytmiczny:

/   /   /   /   /   /   /
— — — — — — — || — — — — — —

W tej rytmice (melicznej) śpiewane są zresztą po dziś dzień liczne pieśni dziadowskie, np. ta, powszechnie znana:

Posłuchajcie ludkowie, o królu Sobieskim...

O tym właśnie, jak popularne formy łacińskich kantyków średniowiecznych (religijnych i świeckich) wpłynęły na utworzenie się najbardziej po dziś dzień popularnych form wierszowych polskich, wypadnie kiedyś pisać obszerniej. Zwłaszcza wyjaśnić przyjdzie pochodzenie polskich wierszy ośmiozgłoskowych, o których niektórzy nasi badacze literatury pisali zbyt symplicystycznie, a stąd mylnie, sprowadzając wszystko pod strychulec sylabizacji, liczenia zgłosek. Tymczasem w naszej poezji średniowiecznej mamy de facto conajmniej dwa typy ośmiozgłoskowców (oba żywotne po dziś dzień i odrębne w rytmice), z których

jeden wywodzi się z wierszy goliardowych, trochaicznych oktonarów $(\acute{-}\ -\ \acute{-}\ -\ \acute{-}\ -\ \acute{-}\ -)$, drugi zaś z najczęstszego typu pieśni kościelnej, dystychu jambicznego czyli ambrozjańskiego $(-\ \acute{-}\ -\ \acute{-}\ -\ \acute{-}\ -\ \acute{-})$.

Na temat tych ośmiozgłoskowców wiódł niedawno Zawodziński polemikę ze Stefanem Godlewskim. Trochę racji miał każdy z antagonistów. Całkowitej słuszności nie miał ani jeden ani drugi. Sprawa jest złożona i nie da się załatwić jednym pociągnięciem pióra. Narazie cieszyć się można, że nareszcie zaczęto i w Polsce zajmować się hymnografią średniowieczną łacińską oraz pieśniami goliardów, zwłaszcza „Carmina Burana". Może w ten sposób staną się i u nas nareszcie powszechniej znane badania wersyfikacyjne W. Meyera i jego następców.

Madison, Wisconsin. *Józef Birkenmajer.*

UWAGI O PRZEDMIOCIE BADANIA LITERACKIEGO I O JEGO UJMOWANIU FILOZOFICZNYM

(NA MARGINESIE „WSTĘPU DO BADAŃ NAD DZIEŁEM LITERACKIM" M. KRIDLA)

Niezależnie od zasadniczego stanowiska jakie się zajmie wobec książki Manfreda Kridla „Wstęp do badań nad dziełem literackim" — nie można się oprzeć porywowi wdzięczności za jej ukazanie się. Przecież ta książka, stała się zdarzeniem w naszym życiu kulturalnym. Do niedawna mówiło się o obojętności społeczeństwa dla dzieł literackich, a w specjalności dla książek z zakresu badań literackich! Zdawało się, że nieosiąkłe jeszcze z zabiegów drukarskich stawały się z miejsca tylko pozycją bibliograficzną, że nikogo serdecznie nie obchodzą. O teoretycznych założeniach badań, o przemyśleniach teorii literatury — zdawało się — nie ma dla kogo pisać (wyłączywszy, oczywiście, garstkę specjalistów). Tymczasem książka Kridla postawiła nas wobec zdumiewającego faktu: nie tylko jest czytana, ale i dyskutowana; z miejsca dostała się w wir polemik, wzbudziła tysiąc namiętności, stworzyła obozy, zmobilizowała dwa pokolenia, uzbroiła je w pióra, może nawet zmusiła do twórczego wysiłku. Przekonała jednym słowem, że istnieje w Polsce zdecydowane audytorium, a nawet, że coraz liczniejsi są ci, którzy w tych sprawach mają coś ważnego do powiedzenia. Z drugiej strony pokazała, że nauka w tym dziale nie jest czymś dumnie w swej wyłączności zamkniętym, ani czymś chłodno-akademickim. Że — wobec namiętności z jaką garną się pod jej sztandar młodzi — stoimy może w Polsce u kolebki ciekawego rozkwitu teorii literatury, która zagranicą w naszych oczach rozrasta się do samoistnej dyscypliny naukowej o podstawowym znaczeniu dla całokształtu badań literackich. Jednym słowem książce M. Kridla zawdzięczamy świadomość nowych perspektyw dla młodego ruchu naukowego w tej dziedzinie i wspaniałą pociechę, że nie pracuje się w próżni.

Jakim cechom tej książki zawdzięczamy to cudowne i niespodziewane odkrycie — trudno powiedzieć. Może owemu temperamentowi autora o którym z tak swoistym wdziękiem mówił Wacław Borowy; może niezbyt trudnemu poziomowi argumentacji; może nawet pewnemu brakowi oczywistości czy spoistości pewnych dowodzeń, który do miąższu książki daje dostęp i oklaskom i sprzeciwom. Dość, że „Wstęp do badań nad dziełem literackim" wejdzie do historii kultury współczesnej epoki, że stanie się przedmiotem badań fenograficznych. Bo książka Kridla jest bezsprzecznie datą, i niejedno wywoła zadumanie naukowe nad tym, czy tylko zorganizowała, czy też wywołała pewien stan faktyczny. Niech się sceptycy sprzeczają czy żywe źródło na biblijnej pustyni jest zasługą skały z której wytrysło, czy laski która o nią uderzyła; co do mnie — sądzę, że nie można przy tej okazji nie docenić Mojżesza. I jeszcze jedno trzeba podkreślić: wielkie bogactwo poruszonych przez M. Kridla zagadnień daje dostęp rozmaitemu ustosunkowaniu się do niej. Można poszczególne jej tezy rozwijać czy zbijać (Adamczewski, Giergielewicz), można dyskutować nad zwartością jej całości, nad logiką jej systemu (Borowy). Można zbliżyć się do niej jako do zdecydowanej przez autora o s o b o w o ś c i, albo też rozprawiać się z nią jako w y r a z e m (Kołaczkowski), można dopatrywać się w niej przede wszystkim teorii, lub przede wszystkim praktycznych tendencyj metodycznych. Wiele punktów spornych naświetlili i poddali dyskusji w swych artykułach wspomniani polemiści, wiele ujęć chóralną aklamacją powitali liczni młodzi. Zdaje się jednak, że i tu i tam nie obeszło się bez pewnych nieporozumień. Dzisiaj, „kiedy walki lwie przebrzmiały ryki" pragnę dorzucić parę uwag niedopowiedzianych w ogniu sporów, parę myśli, które zawdzięczam prężnej książce Kridla.

Zdaje się, że źródłem całej doktryny Kridla jest bardzo głębokie umiłowanie nie tyle p r z e d m i o t u b a d a n i a l i t e r a c k i e g o, ile samego b a d a n i a, owych wnikliwych dociekań i zdobywania przeświadczeń o badanym przedmiocie. Linia badania jest przede wszystkim jego troską.

W takim ustosunkowaniu do pracy badawczej łączy się przekonanie o osiągalności celów badania z wiarą w jego wszelaką konieczność. Łączy się i ambicja nadania umiłowanym badaniom najwyższych sankcyj i najwyższego namaszczenia; stąd wypływało w zależności od epoki raz zbliżenie badania literackiego do sztuki i jej źródeł: „natchnienia" (impresjonizm w badaniu literackim), drugi raz do nauki w epoce, gdy nauce przyznawano prymat w stosunku do sztuki i życia. Kult dla nauki w epoce pozytywizmu za której istotną dziedzinę uznano nauki przyrodniczo-matematyczne narzucił badaniom literackim obce im ramy metodyczne tych właśnie uprzywilejowanych dziedzin nauki. Ulgę tu przyniosły, choć pogrążyły w inny błąd, wysiłki wyzwolenia historii jako przedmiotu badania spod klątwy „nienaukowości" i spod jarzma obcych jej istocie metod (W. Windelband, L. Bernheim, G. Simmel, W. Diltey, H. Rickert). Od niedawna dopiero — i to głównie chyba dzięki natchnieniom Bergsona uświadomiono sobie, że postępowanie naukowe może mieć metodycznie charakter odmienny od nauk matematyczno-przyrodniczych, a zatem, że można mówić o naukowości badań o niewymiernym matematycznie czy przyrodniczo przedmiocie bez naciągania i deformowania samego przedmiotu. Każda dziedzina badań może mieć charakter naukowy — ale aspirując do charakteru naukowości powinna zdać sobie sprawę z wymagań jakie metodzie pracy badawczej stawia jej

przedmiot; powinna metodę uzależniać od charakteru przedmiotu — nie zaś ustaliwszy pewien ideał metody naginać do niej przedmiot. — I tu właśnie sporo nieporozumień, tak co do pojęcia metody, jak i przedmiotu nauk.

Rozmaicie możemy się zapatrywać na niepokój z jakim poszczególne nauki humanistyczne odnoszą się do ideału naukowości. Czasem prowadzi on wprost do zubożenia samej dziedziny badań. I tak filozofia, która niekiedy chce się uważać w imię ścisłości tylko za metodę gotowa odrzucić od swej istotności najtęższe dzieła, wyniki najpoważniejszych przemyśleń twórczych — wymykające się jednak z pod pewnego rodzaju ujęcia naukowości w filozofii. M. Scheler, Heidegger, Driesch mają większe uznanie u filozofów i „naukowych literatów" niż u ścisłych filozofów. Nasuwa się, oczywiście, pytanie, czy obawa przed nienaukowością (pojmowana naturalnie na sposób pozytywistyczny, a może i niepozytywistyczny) nie każe rezygnować z rzeczy ważnych. A przecież idzie chyba o ważność badań, ważność ich przedmiotu, kierunku i rezultatów; jest to chyba zasadnicza legitymacja wobec której blednie pytanie czy można do nich przyczepić etykietkę z napisem: naukowy (rozumie się: w pewien sposób). Obawa przed nienaukowością każe nieraz ze względu na jednostronność narzędzia poznawczego ograniczyć przedmiot badania, przyczym często zachodzi nieporozumienie: zwężenie uważa się za określenie i decydowanie. Im mocniej w imię miłości dla badania chce się nadać mu namaszczenie „ścisłej" naukowości, tym większa obawa, że się popadnie w skrajność w pojmowaniu istoty naukowości ze szkodą dla ogarnięcia obszaru i głębokości przedmiotu badania (zawsze trudnej do naukowego uchwytu). Mam wrażenie, że z kultu dla naukowości, której charakter u M. Kridla podaje krytyce Kołaczkowski wypływa w książce Kridla takie właśnie zacieśnienie przedmiotu badań literackich. Podstawowym fundamentem dowodzeń Kridla — nie nowym, jak sam zaznacza — jest przekonanie, że przedmiotem badania literackiego jest dzieło literackie. Otóż w tym dziś już truiźmie zdaje się tkwić błąd. Przedmiotem badania literackiego jest nie tylko dzieło literackie (posługuję się tutaj tym pojęciem w rozumieniu Kridla), ale wszystko co jest twórczą manifestacją życia, wyrażoną materiałem słownym. Naturalnie, takie określenie poszerza znacznie przedmiot badania literackiego, bo obejmuje nie tylko „dzieło literackie", lecz i dzieło „pozaliterackie".

M. Kridl nie kwestionuje nieodpartej prawdy, że wartości estetyczne związane z możliwościami materiału słownego pojawić się mogą niezależnie od zasadniczego celu, któremu dzieło służy, a więc bez względu na to czy celem dzieła będzie stworzenie tych wartości, czy też wyłonią się one jakoby ubocznie. Podkreślam słowo: jakoby. Nikt przecież w praktyce nie wątpi, że zarówno epos, dramat jak i najcodzienniejszy list mogą być piękne i że wartości estetyczne stają się tu faktem za pośrednictwem materiału słowa, a leżą w ciężarze jego znaczeń, w jego charakterze funkcjonalnym etc. To też nie tylko list — kątem tolerowany w literaturze — ale dokument, rozmowa, wszystko aż po dzieło filozoficzne, może być piękne. Naturalnie wraz z Kridlem widzimy różnicę między musi a może wartości estetycznych w odniesieniu do celu dzieła literackiego i pozaliterackiego. Nie możemy tylko zgodzić się na to, aby rozgraniczenie było

wobec badania tak bezwzględne tam, gdzie istota możliwości estetycznych tkwi imanentnie w tym samym materiale wyrazowym, w materiale słowa, którego jedną z istotnych cech, jak stwierdza nowoczesne językoznawstwo, jest dynamika estetyczna.

W spojrzeniu na wartości estetyczne, stricte na stosunek możliwości estetycznych do zasadniczego celu dzieła pozaliterackiego, poszlibyśmy jeszcze dalej. Nowsze badania wskazały, że wartości estetyczne są wyrazem pewnej prawidłowej funkcjonalności organizmu dzieła, pewnej przejrzystości układu, odpowiedniego złańcuchowania logicznego, które objawia się konstrukcją słowną, że są nastawione także na „trafność" i skuteczność. Stąd w dziele np. naukowym wartości estetyczne bynajmniej nie są tylko okolicznością, cechą drugorzędną, momentem dekoracyjnym (choć może tu istnieć i takie piękno), lecz są w ogóle wyrazem zetknięcia twórcy z materiałem po linii zasadniczego celu, są wynikiem pewnego zorganizowania materiału. Leżą zatem u źródła samego tzw. pozaliterackiego celu dzieła. Można nawet śmiało zaryzykować paradoks, że dzieło będzie tym bardziej na linii swego pozaliterackiego celu, im bardziej będzie piękne. List np. nie tylko będzie piękny przez to, że będzie skończenie skuteczny dzięki zorganizowaniu swego materiału treściowo-słownego, ale także tym bardziej będzie po linii swego celu (swojej praktycznej skuteczności), im bardziej będzie piękny. Odnosi się to wszystko nie tylko do jednostek rodzajowych, nie tylko do poszczególnych dzieł, ale także do wszelkich ich elementów i jakości. I tak np. styl, którego wartości estetyczne zamykało dawne ujmowanie statyczne w ramy dekoracyjności, w ramy efektów obrazowo-poetycznych etc. — teraz według nowoczesnej koncepcji dynamicznej wydaje się wyrazem ścierających się sił — i tym będzię piękniejszy, im mocniej ów konflikt sił uwidoczni. (Por. Z. Łempicki, Zagadnienie stylu).

A zatem różnorakie wartości estetyczne skonkretyzowane słowem — są równorzędne w swej istotności, w dynamice swego istnienia bez względu na to, czy spotykamy je w takim czy innym typie słownej manifestacji życia (przyjmujemy wraz z Kridlem typy według celu dzieł). Stąd wniosek, że ze względu na tożsamość materiału ekspresyjnego wymagają jednorodzajowego typu badania. Sądzę, że nikogo nie zaboli, jeśli nazwiemy je badaniem literackim.

Tak więc zarysowałam odmiennie niż czyni to M. Kridl przedmiot badania literackiego, a sądzę, że też bez szkody dla „dzieł literackich" stricte sensu (nazwałam je też w „Szkicach z teorii literatury" dziełami literatury czystej w przeciwstawieniu do stosowanej; podobne terminy wprowadził później Abercrombie). Sądzę, że włączenie „dzieł pozaliterackich" w przedmiot literackiego badania odda przysługę powadze nauki. Czyż może bowiem jakakolwiek dziedzina rzeczywistości pozostać poza obrębem zainteresowań nauki? Czy może nie zwrócić jej uwagi twór mocny zdecydowany w istotnych swych elementach estetycznych? Czy istnieje poza badaniem literackim inna gałęź nauki, której celem badać wartości estetyczne tworów ukształtowanych w tworzywie słownym.

Przerzucanie tej pracy na historyków kultury wydaje mi się — dialektyką. Ich zadaniem rozpatrzenie i ocena także i dzieł pozaliterackich w otoku ich rzeczywistości historycznej. Jeśliby zechcieli zbadać piękno tych dzieł (poza np. ich rezonansem społecznym do czego samoistne, „własnoręczne" przeprowadzenie badania jest zbędne) — to wypełnią tu

pracę zastępczo za tych, których właśnie podstawowym zadaniem zbadać piękno twórczej myśli wyrażonej w słowie. Bez wątpienia prof. Stanisław Łempicki do którego odsyła M. Kridl w czambuł wszystkie dzieła pozaliterackie wywiązałby się z takiego zadania znakomicie. Ale nie trzeba zapominać, że zrobiłby to, wychodząc poza właściwy zakres swojej specjalności, poza zadania historii kultury.

Wątpię, by rozszerzenie granic przedmiotu badania literackiego we wskazanym przeze mnie kierunku prowadziło go w nieokreśloność i mglistość; ufam, że nie zagraża postulatom naukowości, domagającej się ścisłego określenia przedmiotu badania. Natomiast wydaje mi się, że owo rozszerzenie granic zapobiega od innej strony niebezpieczeństwu, na które czujny miłośnik tej dziedziny badań musi być równie czuły jak na postulat dostosowania granic przedmiotu do możliwości naukowych środków badania. Próba moja chce się przeciwstawić cząstkowości badań, ułamkowości przedmiotu, jako deformacji skutkiem zbyt ciasnych ram. Im bardziej ujmuje się badania jakichkolwiek zjawisk strukturalnie — a dziś chyba trudno inaczej — tym bardziej przykro odczuje się skrzywienie przedmiotu badania, jakim jest podsunięcie cząstki za całość, i nieuwzględnienie istoty całości w jednostce, która jest jego częścią; całość bowiem jest nie tylko sumą cząstek wraz z sumą ich cech i sumą ich energij, ale i jakościową i energetyczną odmiennością. Wbrew pozorom literatura to nie tylko dzieło x, dzieło y, dzieło z, o sumie promieniujących z nich wartości estetycznych, ale także masa, tworząca zamknięty w sobie, spoisty świat estetycznych relacyj. Jeśli np. nie obchodzi badacza Molierowskiego „Mizantropa" charakter estetyczny listów p. de Sévigné, to badacza jakości estetycznych literatury francuskiej XVII w. musi obchodzić i jakość estetyczna „Mizantropa" i jakość estetyczna listów p. de Sévigné bez względu na to, że pierwsze są funkcją dzieła literackiego, drugie dzieła pozaliterackiego. Ponadto nie jest prawdopodobne, aby go nie obchodził kontrast gestu dramatycznego i salonowego wdzięku jako jedna z podstawowych cech literatury tego okresu i żeby nie zastanowił się nad jej stosunkiem do cech charakterystycznych każdego z tych tak pozornie odrębnych dzieł.

Odrzucenie takiego punktu widzenia byłoby jednoznaczne z odrzuceniem od badań literackich badań typologicznych, o których przecież M. Kridl (podobnie jak Ingarden) mówi z całym uznaniem. Przypuszczam, że nie najmniejszą rolę w zacieśnieniu granic przedmiotu badania literackiego gra tu kłopot z terminologią. Któregoż ucha nie razi pozornie nielogiczne zestawienie badania literackiego i dzieła pozaliterackiego! Trudno nam się pogodzić z trojakim wyczuciem słowa: w jego sensie etymologicznym, realnym i w usztywnieniu terminologicznym. Zdarza się bowiem często, że posługując się jakimś słowem w funkcji terminu wyczuwamy wciąż jeszcze odmienne znaczenie etymologiczne a czasem nawet i inaczej zarysowane znaczenie realne. Tak się ma rzecz ze słowem: literatura, etymologicznie związanym z litterae (pismo), którego realnym znaczeniem obejmujemy także dzieła u swej genezy niezwiązane z pismem (np. eposy średniowieczne, por. niepokój z jakim traktuje te sprawy G. Paris), ale w którego zakresie mieścimy tylko dzieła literackie, a którym to słowem w funkcji terminologicznej objęliśmy także dzieła pozaliterackie. Czy nie lepiej jednak zrezygnować z subtelności w traktowaniu słowa w jego znaczeniach i funkcjach, niż „wylać dziecko razem z wodą"?

I jeszcze jedno w związku z koncepcją dzieła literackiego w książce M. Kridla. Odcina on ostro sferę dzieł literackich od pozaliterackich swoją koncepcją fikcji jako istotą dzieła literackiego. Owa fikcja, ów „świat nieprawdziwy” dzieła literackiego „nie rości sobie żadnych praw do prawdy w ścisłym słowa tego znaczeniu, tj. jako określonego stosunku pomiędzy autentycznym sądem (w sensie logicznym), a będącą jego treścią, objektywnie istniejącą rzeczywistością, stanem rzeczy, przedmiotem” (48). Sformułowanie to spotkało się z najsilniejszym odporem ze strony Borowego i Giergielewicza; stając zupełnie na stanowisku ich wywodów przecież musimy przypuścić, że zaszło pewne nieporozumienie. Bo chyba M. Kridl nie twierdzi, że p o s z c z e g ó l n e z d a n i a w dziele sztuki nie mają kontaktu logicznego z rzeczywistością pozaliteracką, że są „nieprawdą” — i to nie tylko od strony swej genezy (mówi pod tym kątem o liryce Giergielewicz), lecz także od strony swego wpływu na życie, swej dynamiki życiowotwórczej. Że np. tonu filozoficznego, akcentu zadumania nad życiem, który ma swoją konstrukcyjnie określoną pozycję w dziele literackim (Ingarden) a który swą dynamiką bije w życie — nikt nie bierze na serio. Autorowi, kiedy mówił o fikcji chodziło o konstrukcyjną całość treści dzieła literackiego — która z a w s z e jest „zmyśleniem” twórcy. Ale tutaj nasuwa się inna uwaga. Można mówić tylko o s t o p n i u, nie o f a k c i e fikcyjności jako cesze odgraniczającej. Zmyślenie a raczej stopień odskoku przedmiotu konkretnego dzieła od rzeczywistości bywa różny w zależności od woli autora, który kontakty przedmiotu dzieła z życiem pragnie odsłonić lub ukryć i w zależności od rodzaju literackiego jakim się wypowiada (poemat opisowy np. „Zofiówka” a dramat fantastyczny np. „Balladyna”). Równocześnie faktem jest to, że nawet przy najbardziej wytężonej woli twórcy reprodukcyjny stosunek do rzeczywistości tam, gdzie idzie o konstrukcję całości i o sądy ogólne, wartościujące — jest niemożliwy. I to tak samo w dziele literackim jak i pozaliterackim. To też to właśnie, co zdaniem krytyków bierze się na serio z dzieła literackiego, wbrew ich zdaniem teorii fikcji — jest właśnie najbardziej autentyczną fikcją, wyrazem twórczej postawy jednostki wobec świata. Postawa naszego umysłu syntetyzująca czy analizująca, uogólniająca czy ustalająca pewne relacje, wartościująca, odbijająca na kliszy naszego intelektu materiał naszych przeżyć — jest naszym wkładem w nowej stwarzanej przez nas rzeczywistości. A zatem i poszczególny sąd i całość konstrukcyjna treści zarówno w dziele literackim jak i pozaliterackim jest fikcją; nie ma tu bezwzględnej adekwatności treści sądów i rzeczywistości leżącej poza nimi, podobnie zresztą jak i w naszym życiowym bezpośrednim ujmowaniu rzeczywistości świata zewnętrznego, w którym zresztą jest także pod tym względem stopniowanie odskoku od rzeczywistości (por. to samo zdarzenie w świetle dowcipnej rozmowy salonowej a w zeznaniu sądowym). Im bardziej zachodzić będziemy w orbitę idealizmu jako kierunku filozoficznego, tym bardziej „przedmiotowość” w naszym ujęciu nabierać będzie barw naszego „ja”. Różnica pod tym kątem widzenia pomiędzy światem przedmiotowym jako przedmiotem sądów i fikcją literacką zatarłaby się chyba najzupełniej w doktrynie Vaihingerowskiego fikcjonalizmu... A zatem wydaje mi się wysunięcie fikcji jako cechy dzieła literackiego odróżniającej go zarówno od dzieła pozaliterackiego. jak i od sądów czysto życiowych o rzeczywistości zwłaszcza w pewnej konstrukcyjnej całości (np. opowiadanie) — za niedość rozróżniające. Z dru-

giej znów strony wszelkie zestawianie rzeczywistości literackiej z pozaliteracką i wysnuwanie stąd wniosków dla dzieła literackiego poza właściwe pojmowanie dzieła literackiego jako fenomenu; samo takie zestawienie świadczy o niezbyt ugruntowanym poglądzie na dzieło literackie jako zjawisko samoistne, swoiste a więc niezestawialne z braku istotnej płaszczyzny zestawień z czymkolwiek o odmiennej kategorii bytu. Jak stwierdza M Geiger: „Sowie man den Illusionsgedanken, den Gedenken des Gegensatzes von gegebenen Wirklichkeit und tatsächlicher Unwirklichkeit in die Aesthetik eingeführt, verlässt man das Gebiet des Phänomenalen". (Zugänge zur Aesthetik 140). Tyle znów o teorii fikcji ze stanowiska fenomenologii, z którą, jak sądzić z wielu stwierdzeń w książce, stosunek autora jest bardzo bliski. Naturalnie nasuwa się tu pytanie jaki zachodzi stosunek teoryj filozoficznych do teorii literatury; czy związek z którymś systemów filozoficznych jest związkiem konieczności, a z drugiej strony czy teoria literatury powinna się liczyć z zasadami systemów filozoficznych, których przecież jest tak wiele; czy uwzględnienie ich zasadniczych elementów nie poprowadzi jej do logicznych sprzeczności.

Otóż co do pierwszej sprawy trzeba stwierdzić, że pogląd filozoficzny badacza nie może nie odegrać roli w jego pracy badawczej, choćby przez ocenę jej ważności, nie można się przecież wyzbyć (i jak wiemy: nie trzeba) zasadniczej postawy duchowej. Ale trzeba stwierdzić również, że teoria literatury, która aspiruje do wysokiej rangi samoistnej nauki ma swoje własne punkty wyjściowe i metody wynikające z istoty jej przedmiotu, a więc nigdy badacze, choćby wyznawali zupełnie odmienne credo filozoficzne — nie mogą nie spotkać się w zasadniczych momentach swej pracy. Bezwarunkowo jest pewna wspólna płaszczyzna myślenia związana z istotą i metodą teorii literatury, na której badacze muszą się zetknąć. Własne credo filozoficzne badacza nie może a priori przesądzać rezultatów badania jeśli badacz nie chce znaleźć się w położeniu przeciwników Kopernika, przeczących nieruchomości słońca na podstawie biblijnego zatrzymania go przez Jozuego. Z tego jednak również wynika, że żaden istotny moment teorii literatury, ani zamknięty krąg jej swoistego przedmiotu przenikanego badawczo swoistymi metodami, nie może być kamieniem obrazy dla żadnego systemu filozoficznego, chyba że będzie nim ona sama, jej założenie. Jeśli się tak zdarza, jest to wynikiem pewnych nieostrożności w zabiegach badawczych, jakimś „niedotarciem" do istoty badań teoretycznych. To też pewien konflikt z zasadniczymi pierwiastkami tych zwłaszcza podstawowych systemów filozoficznych, które falując płyną przez długie wieki szerokim korytem kultury filozoficznej, jest i obce naukowej samodzielności badań z zakresu teorii literatury i dezorientujące i po prostu niepotrzebne. Zwłaszcza nie powinien on dojść do głosu w podstawowych definicjach i rozróżnieniach. Przecież one są wyrazem trwałych zdobyczy naukowych, na których narastać ma gmach dalszych zdobyczy; poddana rytmowi zmiennych szans systemów filozoficznych teoria literatury byłaby tylko jej pochodną a rezultaty badań byłyby raczej tylko różnymi filozoficznymi sądami o jednej rzeczy — nie zaś wyrazem narastającego w sposób ciągły jej trwałego dorobku.

Naturalnie moje uwagi nie pretendują do krytyki książki M. Kridla, — są tylko pewnymi á propos, które niechaj świadczą o sile podniet jakie w niej tkwią i niechaj tym samym poprą mój sąd, że jest ona niemałym zdarzeniem w naszym życiu kulturalnym.

Łódź. *Stefania Skwarczyńska.*

Z PIERWSZEGO POBYTU REYMONTA W LONDYNIE

Reymont należał — jak wiadomo — do zawziętych peregrynantów, od pierwszych wystąpień literackich aż po sam koniec życia rokrocznie niemal przesiadywał zagranicą. Byłoby zadaniem bardzo interesującym ustalić, w jaki sposób podróże te wpłynęły na ukształtowanie się indywidualności twórczej autora „Marzyciela“, czym i w jaki sposób przyczyniły się do jej rozszerzenia i pogłębienia. Ustalenie to wymagałoby jednak gruntownej znajomości biografii pisarza, biografii dotąd nie napisanej, a — jak dowodzą choćby jej fragmenty w szkicach A. Grzymały Siedleckiego—układającej się niejednokrotnie w tok wręcz powieściowy. Materiałów zaś do niej już obecnie jest sporo, między innymi w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie, zawierających dużą korespondencję literacką autora „Burzy“ z warszawskimi przyjacioły.

Z korespondencji tej podaję tutaj list Reymonta, wysłany w r. 1894 z Londynu do przyjaciela skierniewickiego, Ignacego Noireta. Dokument ten z wielu względów zasługuje na uwagę. Tak więc jest to pierwszy list zagraniczny początkującego literata. Stanowi on charakterystyczne dopełnienie znanej autobiografii Reymonta w liście do Wodzińskiego, a zarazem tworzy rodzaj wstępu do opowieści Lorentowicza (w zbiorze „Spojrzenie wstecz“) o pierwszym spotkaniu z Reymontem w Paryżu. A wreszcie rzuca charakterystyczne światło na sposób, w jaki przyszły autor „Wampira” obserwował obce środowisko, i silnie akcentuje jego upodobania marynistyczne. Względy te wydają mi się zupełnie wystarczające, by usprawiedliwić ogłoszenie tego ciekawego dokumentu drukiem.

Warszawa. *Janusz K. Dębowski.*

Kochany Ignotusie.

Obiecałem pisać więc dotrzymuję słowa.

Bardzo pięknie przeleciałem sobie Europę. Połknąłem kawał drogi ale i zmęczyłem się dyabelsko. Nawet powiem, że nuży taki szalony bieg, bo jakieś 24 godzinne przystanki nie można liczyć za przystanki. Obejrzałem Europę z okien wagonu, o ile ma się wi — [!] nie spałem i było widno.

Siedzę już trzeci tydzień w Londynie, a o odpoczynku ani mowy, jest tutaj tyle do widzenia, a wszędze takie olbrzymie przestrzenie dzielą, że rozpacz ogarnia. Miasto się ciągnie na przestrzeni tak mniej więcej jak od Warszawy do Rogowa — więc masz pojęcie co za rzuty trzeba czynić. Juścić ułatwienia komunikacyjne są anielskie poprostu, i bajecznie tanie.

Ja tak sobie czas rozłożyłem, że śpię 8 godzin, 12 jeżdżę, chodzę i oglądam, a 4 piszę wrażenia. Towarzyszów mam bardzo zacnych chłopów, doskonale znają Londyn, a przytem na miejscowych znajomościach nie zbywa. Polaczków jest tutaj także paczka. Moskali porządnych, takich co musieli się wynieść z domu jest siła. No i czas ogromnie leci. Jest tak wiele rzeczy godnych widzenia, że trzebaby lat całych, aby wszystko zobaczyć. Same muzea i galerye zabierają mi przeważnie czas. Muzeum Brytańskie, to cud świata, niezmierzoność co do bogactwa rozmaitych zgromadzonych tam arcydzieł i rzeczy jedynych w świecie. A Galerya Narodowa! Powiadam Ci, że istotnie chaos arcydzieł. Cała historya Odrodzenia

w swoich najprzedniejszych dziełach. Jest się poprostu przygnębiony taką masą cudownych rzeczy.

Od trzech dni siedzę tylko w Dokach t. j. w porcie, zkąd i dokąd przychodzą okręty indyjskie i mórz odleglejszych. Nie mogę się napatrzyć rożnobarwności kostyumów i wielkości handlu angielskiego. Choć się uczyłem kilka miesięcy po angielsku, ale mi się ciężko było szczególniej z początku rozmówić. Wymawiają tak dyablo szybko, że niemożna było się połapać. Teraz potrochu daję sobie radę, żeby tak posiedzieć tu ze trzy miesiące, tobym się nauczył doskonale.

Londyn jest porządnie drogi, szczególniej w obecnej porze. Jest to sezon turystyczny. Cudzoziemców zatrzęsienie. Niewielki pokoik na 5 piętrze, ale z widokiem na Tamizę, płacę 2,50 kop. rozliczając na nasze pieniądze. Juścić nie można było się ulokować taniej, ale jak się miasta nie zna, a tem bardziej jak się przyjedzie zbity i zfatygowany przejażdżką przez La Manches [!], poczciwy kanał, żeby go pies gryzł, to się i nie szuka tańszego.

Życie hotelowe stosunkowo drogie. Śniadanie Rs. 1 ale możesz jeść tyle i to, co zechcesz. Obiad Rs. 1.50 t.z. stół pierwszy, bo drugi kosztuje 3. Można się stołować na mieście, to jest bajecznie tanio.

Znalazłem tutaj dotychczas dwie rzeczy idealne dobre:

1) Herbatę, o jakiej my w Polsce nie mamy pojęcia.

2) Tytuń, jakiego u nas zupełnie niema. Jest dosyć drogi ale wprost cudowny.

Kobiety mają tutaj przepyszne włosy i płeć, zresztą są dosyć brzydkie, ogromnie płaskie, istne deski do prasowania. Miasto z powodu mgieł i wilgoci jest tak czarne, że wygląda na okopcone umyślnie. Domy potworne wielkością. Gmachy ciągną się na kilometrowej długości. 5 — 6 pięter jest tutaj normą. Ruch na ulicach istne piekło.

Taniość rozmaitych artykułów domowego i codziennego użytku—bajeczna, ale najtańsze to są materyały na ubrania damskie i mężkie. Bacząc na doskonałość towaru, na barwy zdumiewam się po prostu. Jedwab indyjski jest w cenie zupełnie takiej samej, jak u nas najzwyklejszy perkal. Gdyby nie komora i cło, no i gdybym miał wiele pieniędzy, tobym tutaj masami różnych rzeczy nakupił.

W środę jadę do Paryża, ale powrócę jeszcze do Londynu, bo prawdopodobnie pojadę z pewnem towarzystwem holenderskiem do Bostonu, trochę dalsza promenada. Ameryka mnie nie nęci, ale że idealnie tania sposobność, i ci Holendrzy ogromnie zacny naród, więc może i pojadę. Ach będzie znowu morze. — Powiadam Ci, morze jest cud nad cudami, gdyby tylko można uniknąć człowiekowi, który go znał z opisów — pewnych nieprzyjemności chorobnej natury. Zresztą wszystko się zniesie, zniosłem już kuchnię angielską. Jada ten naród absolutnie bez soli, i rzeczy tak mdłe i różne od naszych, że musi się chorować, nim się zdoła przyzwyczaić.

Chodzę sobie codziennie do oddziału bibloteki [!] międzynarodowej przy Britisch [!] Museum, zdaje mi się, że siedzę sobie gdzie w Warszawskiej cukierni, bo mam większość pism polskich, z dodatkiem krakowskich i poznańskich. Kończę przeglądać „Kuryera Codziennego", część wrażeń podróżnych będę tam drukować, a resztę, rzeczy solidniejsze w Ateneum.

Ściskając Cię i całując łączę szereg pozdrowień dla Pani i mówię

Good bye! Pani Helenie i Cioci załącz ukłony odemnie, p. Wincentemu podziękuj odemnie za łaskawych słów kilka. Mój Boże, jaki to ciężki człowiek. Znajomym ukłony.

Londyn 22 lipca 1894.

Wł. S. Reymont.

A może Ty napiszesz słów kilka. Adres ten tydzień ważny: London. Buckingham Temperanc[e] Hotel. Buckingham Street. Z Ameryki Ci napiszę, o ile tam żywy zajadę. Good Bye. R.

KILKA LISTÓW FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO

Paromiesięczny epizod działalności pedagogicznej Karpińskiego w Puławach jesienią 1801 r. został już jako tako wyjaśniony [1]. Pięć ogłoszonych listów z tego okresu pozwoliło zorientować się i w chronologii i potrosze nawet w metodzie tego wychowania. Kilka dalszych, które się dzisiaj podaje, rzuci światło na zamknięcie tego epizodu.

Karpiński, rozstając się z uczniami, z pożegnania tego nawet zrobił akt wychowawczy, dokonał go w formie listów, jak je nazywał, „obyczajnych", które (wiemy to) były ulubionym jego środkiem pedagogicznym. Do listów tych przywiązywał najwyraźniej jakąś większą wagę, bo je najpierw skomponował w brulionie i brulion ten skrupulatnie zachował. Mieści się on dzisiaj w zbiorach P. Akademii Umiejętności w tekach C. Walewskiego. Przechowane teksty pozwolą nam nabrać szczegółowszego pojęcia o Karpińskim jako pedagogu-moraliście, a zarazem ustalić skład puławskiego grona jego uczniów.

Z siedmiu listów zawartych w zbiorowym brulionie dwa dochowały się także w tekście ostatecznym: jeden ogłoszony już przez K. M. Górskiego, drugi jeszcze w autografie przechowanym w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej.

Do listów pedagogicznych dołącza się tu drugi list do Jawornickiego, oraz jeden do Ign. Kułakowskiego w sprawach rodzinnych i autorskich, zachowane również w Bibl. Jagiel. i w P. Akademii Umiejętności.

Kraków. *Stanisław Pigoń.*

LISTY POŻEGNANIA

do siedmiu Kawalerów w Puławach bawiących, z którymi dwa razy na tydzień w materiach obyczajnych korespondowałem. R. 1801.

1. Do Księcia Dominika Radziwiłła.

Druk. K. M. Górski, „Pisma literackie", Kraków 1913, s. 671. Odmiany tekstu drobne, natomiast data w druku błędna: 25 Obris 1801; ma być: 25 9-bris.]

---

[1] Tygodnik Ilustr. 1891 nr. 93 i 95; RL III 176.

2. Do Fredra[1].

Już się bawić nie będziemy listami naszymi dłużej, kiedy dla interesów moich z Puław wyjeżdżać muszę. Przy pożegnaniu pamiętać proszę, że żył z WPanem siedm niedziel Karpiński, którego serce jeżeli w czym WPanu nie mogło być użyteczne, dla tego przynajmniej niech będzie cenione, że chciało. Ja stary, wkrótce mogę dobiec zawodu mego. Wam młodym im dalszy koniec biegu wymierzony, tym bywa weselsza podróż. Pamiętaj WPan z towarzyszami wędrówki Twojej najgrzeczniej ile możności ulegając postępować, ażebyś im i sobie podróży Twojej nie kwasił. A mnie statecznie kochaj, bom Cię kochał najszczerzej.

Zostaję... etc.

3. Do Puzyny[2].

Po zacnej Twojej Matce przyszedłeś WPan do przyjaźni mojej. Matka WPana przez lat 40 statecznie łaskawa na mnie. Już nie dożyję lat tyle, ażebym i z WPanem tak długo przeżyć mógł. Na pamiątkę przyjaźni mojej przy pożegnaniu teraźniejszym zaklinam WPana, ażebyś w obchodzeniu się z drugimi był grzeczniejszym, jak żądałbyś, ażeby z Tobą byli. Wyznać potrzeba, że możesz WPan mieć przyjaciół, bo masz serce najlepsze; ale boję się, żebyś ich nie stracił, bo sposób obchodzenia się jego czasem za ostry bywa. Mam prawo mówić WPanu śmiało prawdę, bom stary; na miejscu twoich Rodziców, którzy mię kochali, mówię ci ja. Niedbały jesteś w tym często, co ci na całe życie potrzebne; takie bywały i listy twoje do mnie, które czasem i wyczytać przyciężko było. Nie bierz, mój poczciwy Starościcu, to moje napomnienie za złe, ale za cechę prawdziwego przywiązania mojego, z którym zostaję.. etc.

4. Do Łopota[3].

O cnocie z tobą listy pisaliśmy, i dlatego z nią do WPana udałem się, że kochankowi o kochance rozmawiać najmilej. Żegnając WPana, upraszam, ażebyś to, co do mnie pisywałeś, do śmierci twojej zachował. Jak to chlubno dla człowieka, kiedy w sumieniu swoim żadnej sprawy nie widzi, którejby się wstydzić mógł. Znasz WPan drogę, żebyś na potym nie błądził i zasadzkom, na które w zeprawie twojej napaść możesz, skutecznie opierał się. Miałem żal do WPana, żeś jednę pocztę między nami przez szczere niedbalstwo opuścił. I grzeczność cnotą jest, kiedy pogarda występkiem; a ja to natenczas, że nie dbasz o mnie, tak sobie tłumaczyłem. Chwilę tę mego nieukontentowania nadgrodziłeś WPan po-

---

[1] W Puławach „znajdowało się mnóstwo młodzieży, bądź kształcącej się, bądź dorosłej. Najstarszy między nią był [według Korbuta ur. ok. 1790, ze wspomnień L. Dembowskiego wynikałoby, że ok. 1780] M. Fredro, najstarszy z licznego potomstwa Jacka Fredry, dziedzica Sądowej Wiszni". Leon Dembowski, „Moje wspomnienia". Petersburg 1898, I 98. Fredro opuścił Puławy 1804, udając się do legionów.

[2] „Dalej.. książę Puzyna, z Rusi pochodzący" (ibd.). O stosunkach z Puzynami a zwłaszcza o przyjaźni z Fr. Puzyniną wiele mówi Karpiński w pamiętniku. Por. Górski, l. c., s. 432 i n., oraz St. Pigoń, „Z epoki Mickiewicza", s. 15 i n.

[3] Z wychowanków puławskich młodszy od Fredry był „Łopot, Litwin, syn tego, który w sejmie Czteroletnim miał duże znaczenie". Dembowski, l. c.

tem obficie swoim ze mną postępowaniem, i czuję to, że go porzucam w najlepszej zgodzie i przyjaźni, której się nadal polecając, zostaję... etc.

5. Do Dembowskiego[1].

Znalazłem WPana przez czas bawienia mego w Puławach dosyć przychylnym dla mnie, i tak w sercu moim przyjaźń dla niego robiła się. Ale z drugimi niesnaski jakieś, czasem niegrzeczne obchodzenie się, oziębiało mię nieco dla niego. Wszystko już lepiej widzę, i ja lepszym i przywiązańszym do niego wyjeżdżam z Puław przyjacielem. Jeżeli mi się nie zdarzy widzieć WPana napotym, najmilej mi zawsze będzie słyszeć o nim, że mię kochasz od wszystkich kochany.

Zostaję... etc.

6. Do Eustachego Jawornickiego[2].

Przyjaźń z Ojcem przywiodła mię do syna, żebym go się zapytał o rzeczach użytecznych dla niego na całe życie. Pięknie WMPan listami i grzecznością swoją odpowiadałeś mi. Tak ekonomika, o której w listach między nami rzecz była, i do przyjaźni wcisnęła się, że potrzeba i zarabiać na przyjaźń i ochraniać ją potym jak rzecz najdroższą zyskaną[3]. Będziesz ją miał zapewne między ludźmi, tylko potrzeba, ażebyś to, co ujmiesz żywości, przydał do grzeczności twojej.

Kochaj mię WMPan jak twój Ojciec, a będę cię kochał jak mego syna.

WM WM Pana najniższy sługa

Fr. Karpiński

25 9-bris 1801 z Puław.

7. Do L. Dembowskiego[4].

Żegnając się z WPanem, robię z nim przymierze,
Żebyś mię, jak dziś kochasz, kochał zawsze szczerze.
Niechaj jeden o drugim, jak się zdarzy, wspomnie,
Ja dobrze o Leosiu, Leoś dobrze o mnie.

*

Do E. Jawornickiego[5].

17 marca 1802, z Karpina

Wyznaję szczerze, że mię WMPan interesujesz tak z powodu Ojca twego, dla którego mam prawdziwą przyjaźń i szacunek, jakoż i z osoby samego WMPana. Dlatego radbym, ażebyś wszystkie kroki twoje w tym

[1] „Konstanty Dembowski, syn mego stryja Feliksa, stolnika latyczewskiego". Dembowski, l. c. Wstąpił on potem do armii ros. i pod Austerlitz dostał się do niewoli. Zm. 1856.

[2] Według autografu w Bibl. Jag., ze zbiorów W. Górskiego. Tekst brulionowy w tekach Walewskiego, z drobnymi zmianami.

[3] Końcowego zdania pobocznego brak w brulionie.

[4] „Łączyła mię ścisła przyjaźń z Księciem [D. Radziwiłłem] i w jego apartamencie w oficynie ogrodowej na dole niejedną chwilę pod okiem Karpińskiego przepędziłem. Mam nawet listy tego ostatniego, pisane do mnie wierszem". L. Dembowski, l. c., I 88.

[5] Autograf w Bibl. Jag. Dolna część arkusika odcięta wraz z tekstem.

młodym wieku tak kierował, abyś z czasem odpowiadał nadziei naszej o nim.

W Puławach bawiąc, o czytaniu książek listy do siebie pisywaliśmy. Proszę teraz, kiedy na nowo korespondencja między nami może się rozpocząć, pisywać mi, jakie czytujesz książki i czy robisz sobie z nich jakie potrzebne wyjątki (co radziłem w Puławach), któreby w czasie potrzeby użytecznymi dla niego być mogły.

[. . . . .]

Proszę się odemnie najserdeczniej kłaniać Wielmożnym: Skowrońskiemu, marszałkowi Nepomucenowi Orłowskiemu, Zaleskiemu, Nowackiemu, Hemplowi i innym moim łaskawcom.

[adres:] Wielmożnemu Eustachemu Jawornickiemu w Puławach.

Do Ignacego Kułakowskiego[1].

Mon très cher Ami

Posyłam wnuka mojego Kozierowskiego[2] do łaski twojej, godny Przyjacielu, ażebyś go gdzie rekomendował na służbę ekonomiczną albo leśną w dobrach JW. Ordynata. Masz serce do dobroczynności, użyj go dla nieszczęśliwego wnuka mego, a on i ja będziemy Ci wdzięczni do śmierci.

Oddałem Jegomości tłumaczenie francuskie Platona mego[3], ażeby, jeżeli można, było przedrukowane. Trzeba poprawić w Rozmowie pierwszej wyraz, będący ku końcowi tejże rozmowy:

„A kiedy upada w boju cnotliwy Epaminondas..." Miasto „cnotliwy Epaminondas" położyć: „cnotliwy Bohatyr". A to z przyczyny, że nie jestem pewny, czy Epaminondas zginął przed śmiercią Platona.

Kochaj mię, łaskawco mój, jak możesz, a ja Cię kochać pewnie będę do mej śmierci.

Mon très cher ami Votre très humble serviteur

Fr. Karpiński.

Z Kraśnika, 13 Febr. 1819.

[adres:] A Monsieur Monsieur Ignace Kułakowski, Mon très cher Ami[4].

---

[1] Autograf w P. Akad. Umiej. w tekach C. Walewskiego. Kułakowski zapewne pracował w dobrach A. H. Radziwiłła, któremu po śmierci księcia Dominika przypadły ordynacje nieświeska i ołycka.

[2] Młodszy brat Franciszka, spadkobiercy Karpińskiego; byli to wnukowie po siostrze. Zob. F. Karpiński „Dzieła", wyd. Turowskiego, s. 1261.

[3] O tłumaczeniu tym, dokonanym przez kapitana Sempiniego, guwernera u Engelhardtów, jest mowa w pamiętniku Karpińskiego („Dzieła", s. 1264 n.). Do druku jego nie doszło.

[4] Przy sposobności notatka bibliograficzna: Utwory Karpińskiego nie objęte wydaniem zbiorowym (Turowskiego) rozproszone a nie zanotowane przez Korbuta wskazał J. Wepsięć (RL VIII 243). Dodać należy: — „Podróż po kraju zaczarowanym" (Wanda, 1820 I), wiersz „Na odjazd J. Niemcewicza do Ameryki" (Szkołka E. Estkowskiego, 1853, s. 176 i n.); dwa wiersze do szambelanowej Byszewskiej („Świat jest nasz kat..." i „Dzieje nas uczą...") oraz krótki liścik do niej („Przegląd Lwow.", XIV (1877), s. 49, 87).

R E C E N Z J E

PISEMNICTWO STARORUSKIE

Ljackij Evžen. Historický přehled ruské literatury. Část I. Staré ruské písemnictví. Praha 1937, s. 400,4nlb. Nákladem Slovanského Ustavu. Rukověti Slov. Ustavu v Praze, sv. III.

Poza Rosją stała się Praga środowiskiem naukowej pracy rosyjskiej; wymieniona u góry książka jest nowym, niepoślednim jej okazem. Napisał ją literat-emigrant, znany np. z studjów nad romansopisarzem Gonczarowym; przypuszczamy, że przyszła część II, o pisemnictwie nowym, wypadnie jeszcze lepiej; tekst rosyjski przełożyła S. Pohorecká. „Autor rozumie pod ruską literaturą właśnie wielkoruską", ależ do r. 1240 istniała tylko obfitsza kijowska a obok niej znacznie uboższa nowogrodzka, a przed XIV w. żadnej „wielkoruskiej" nie było; autor „zaczyna czasem, gdy językowi (w Rusi moskiewskiej!) pisemnictwo chrześcijańskie pieczęć nałożyło", chociaż Moskwa dopiero w 150 lat po uchrześcjaniu Rusi na fińskiej ziemi powstała a dopiero po nowych 150 leciech do jakiegoś znaczenia (nie literackiego naturalnie!) dochodziła, ależ Moskwa zawsze się wilczym prawem wobec Ukrainy rządziła i co kijowskie, sobie przywłaszczała; p. L. więc toru swych poprzedników wielkoruskich mimo protestów ukraińskich nie rzucił. Poza tym zastrzeżeniem zasadniczym uznam chętnie, że wywody autorskie, oparte o gruntowną znajomość przedmiotu, poświadczoną i najnowszą literaturą naukową, czytają się gładko i powabnie a dowodzą przejęcia głębokim umiłowaniem przedmiotu. Równie chętnie wybaczymy, że autor tę w gruncie bardzo żebraczą literaturę ile możności przystrajał terminami nieco nadto górnymi; dowód to szczerego przywiązania do ojczyzny, języka i nikłych elementów pisemnych. Rzecz popularna, stosunkowo krótka, więc nie myślimy wchodzić w szczegóły, coby np. początki pisemnictwa na przełomie XI i XII w. w innym okazywały świetle, „Nestora" z literatury wykluczały itp. Niektóre rozdziały, np. o apokryfach, wypadły wręcz zajmująco; bardzo udatne próbki tekstowe ułatwiają zrozumienie tej tak odległej i odrębnej literatury; doprowadził autor wykład do szczytowego znaczenia wpływu polskiego, bynajmniej nie ograniczonego literaturą samą. O „Słowie Igorowym" 1187 r. wydał autor w Pradze 1934 osobne dzieło; tu nie wspomniał o iście błazeńskim, u nas świeżo wznowionym pomyśle o falsyfikacie „Igora"; zato uznał w nim „pstrą mozaikę"; pieśń o Igorze a o w. księciu Świętosławie „utworzyły różne osoby" a autor całości dodał do tych dwu pieśni niemało strof z innych; nie znając osobnego dzieła p. Lackiego z r. 1934 nie wdaję się w polemikę z tym awanturniczym pomysłem, opartym o mniemaną różność „tonu". Co do bylin (epiki ludowej wielkoruskiej) ustrzegł się równego, u nas z uporem powtarzanego nonsensu o ich zjawieniu się w XVI wieku; podkreśla przeciwnie ich ciągłość średniowieczną i rozprawia dwukrotnie o ich bohaterach, o historycznych podstawach Ilji, Dobryni i Aloszy str. 70 i nn., a w rozdziałach 32-36 (str. 280-341) o bylinach samych; przy czytaniu tych ustępów nasuwa się niemal stale jeden okrzyk:

to fałsz! On wierzy naturalnie i w ich historyczność, przypadkowa zupełnie równość nazwy Dobryni bylinnego z Dobrynią, wujem Włodzimierzowym nie dowodzi niczego, a ich utożsamianie to pomysł równie dziki jak dawne mitologiczne mżonki Afanasiewa i Sp.; wystarcza zaznaczyć jeden fakt: o głównym bohaterze bylinnym żadna historia najmniejszego śladu nie zachowała; o Dobryni i Aloszy są choć późne wzmianki, tylko o byłym księciu - drużynniku a późniejszym mużyku przed rokiem 1574 (i to litewskiej Rusi!) absolutny cyt! Przez całe stronice można się z owym „to fałsz" przejeżdżać. Z wyjątkiem tej partji, która tylko okazała, do jakich nonsensów ludzi trzeźwych uprzedzenie dowieść zdoła (toż nie p. Lackiego samego, lecz wszystkich adeptów tych mżonek), nie skąpimy wyrazów uznania dla zajmującej całości. Książkę zdobią ponadto dobrze dobrane reprodukcje z rękopisów dawnych i ikon.

Berlin. *Aleksander Brückner.*

TEORIA LISTU

Skwarczyńska Stefania. Teoria listu. Nakł. Tow. Naukowego. Lwów, 1937, str. 373.

Praca badawcza Skwarczyńskiej interesująca i bogata, przez nowe osiągnięcie, jakim jest jej „Teoria listu", wchodzi w pełnię swego rozwoju. Książka ta jest konstrukcją o zdecydowanym charakterze teoretycznym i operuje wielkim materiałem faktów z literatury powszechnej od starożytności po czasy najnowsze.

Pociąga ona czytelnika prostotą wykładu i opanowaniem rozległego aparatu dowodowego. Sięga ku formom, które pojawiają się w tej czy innej korespondencji jak: maksyma, portret, nekrolog, choć to dla teorii listu nie jest konieczne, wychodzi po za listy właściwe w dziedzinę literatury pięknej, rozpatrując stylizacje listowe różnego typu, jak list poetycki i in., bada funkcje listu w kompozycjach powieściowych. Dopełnienia te ujęte zwięźle, świadomie ograniczone, mogłyby rozwinąć się w osobne rozprawy, podobnie jak ubocznie, ale dociekliwie i różnostronnie, omawiana w książce twórczość epistolograficzna Katarzyny Kossakowskiej.

W związku z zagadnieniem tytułowym wyłania się z poszczególnych rozdziałów historia listu, uwzględniająca zarówno technikę pisania w różnych czasach, jak też złączone z nią teorie aproksymatywne, zbliżające list do mowy, pół-dialogu, rozmowy czy wyznania.

Podbudowę dzieła stanowią w znacznej mierze wcześniejsze studia Skwarczyńskiej z zakresu teorii literatury, tak że nowa publikacja wyrasta naturalnie z wysiłków badawczych, które ją poprzedziły [1]. Przy pomocy pojęcia literatury stosowanej określa autorka bliżej cechy gatunkowe listu jak: wartość utylitarna, forma pisemna, nieobecność odbiorcy, ton bezpośredniości. Stwierdza, że list jest „polem wypowiedzenia się autora na terenie zetknięcia się z życiem w wycinku, wykreślonym przez jakość interesu i stosunek do adresata".

Stojąc na gruncie autonomiczności listu jako rodzaju, odcina się autorka zarówno od ciasnoty norm tzw. listowników, które zajmowały się ustalaniem obowiązują-

[1] O pojęciu literatury stosowanej. Pam. Lit. 1931. Próba teorii rozmowy. Pam. Lit. 1932. Z badań nad istotą i istnością rodzajów literackich. Pam. Lit. 1936.

cych w danej epoce przepisów epistolograficznych jak też od romantycznej doktryny listu „bez reguł". Szuka potencjalnych możliwości formy ze względu na tkwiący w niej czynnik celowości. Na konkretnych przykładach wykazuje najwyższe osiągnięcia zawsze zależnie od tematu i osoby adresata.. Wobec specjalnych cech listu, stara się wyznaczyć w nim granice zdobnictwu słownemu. Osobno zajmuje się listem jako częścią całej korespondencji. W ostatnim rozdziale rozpatruje list jako zalążek form literackich lub czynnik w ich budowie. Brakuje tu omówienia jego roli w dramacie, a zwłaszcza w komedii.

Jednym z zadań książki jest danie „oparcia krytycznej ocenie poszczególnych dzieł epistolograficznych", stąd szerokie rozważania nad przydatnością tych czy innych metod, sięganie w sferę psychologii, socjologii, charakterologii, biografistyki. Jest to jakby cześć programowa i metodologiczna, złączona z głównym wywodem, zawierająca wskazówki dla przyszłych badaczy.

Mnogość zagadnień, poruszonych w „Teorii listu" sprawia, że nie wszystkie mogą być rozwinięte, dlatego dzieło Skwarczyńskiej, idące po linii dawniej przez nią ustalonej jest równocześnie zapowiedzią prac dalszych.

Zarówno stanowisko, zajęte przez autorkę, jak też cenne informacje, oświetlone krytycznie, czynią z „Teorii listu" całość bardzo ciekawą i pożyteczną.

Warszawa. *Zofia Szmydtowa.*

POWIEŚCI BRONIKOWSKIEGO

R a t h L u d w i k: Aleksander A. F. Bronikowski. Rozdział z dziejów powieści polskiej. (Badania literackie IX). Lwów, Filomata, 1937, 8-vo, s. 223.

Niezwykle popularna przed stu laty a dzisiaj najgruntowniej zapomniana produkcja powieściowa A. Bronikowskiego z dwu conajmniej względów jest zjawiskiem literackim niezwykle charakterystycznym. Po pierwsze stanowi ona klasyczną wręcz ilustrację znaczenia „poetae minoris", pisarza drugorzędnego, w szeregu rozwojowym, do którego historycznie należy; ilustracja ta niezwykle jasno dowodzi, że warunkiem znaczenia historycznego danego pisarza nie musi być wysoka wartość jego utworów. Po wtóre jest ona wymownym przykładem znikomości sławy literackiej, dużej dysproporcji między popularnością pisarza za życia a głuchym zapomnieniem po śmierci. I z tego właśnie względu dobrze się stało, że autor „Hipolita Boratyńskiego" doczekał się wreszcie książki, wyświetlającej jego rolę w dziejach naszego romansu jeśli nie całkiem wyczerpująco to przynajmniej tak dokładnie, że na wywodach młodego monografisty będzie można przez lat sporo się opierać i że przy ich pomocy zapełni się wreszcie tę lukę, wobec której bezradnie stawał każdy historyk naszej powieści w. XIX.

Książka Ratha rozpada się na dwie części, na charakterystykę twórczości Bronikowskiego i, zgodnie z tym, co się wyżej o Bronikowskim powiedziało, na charakterystykę roli, przez twórczość tę w dziejach naszego romansu odegraną.

Część pierwsza, rozszerzona zresztą chybionym rozdziałem biograficznym, chudym i z całością pracy organicznie niezwiązanym, dzieli powieści Bronikowskiego na sześć grup (romans trywialny, romans grozy, historyczny, społeczno ro-

dzinny i sternowski, nadto uwzględnia nowelę fantastyczną, by po za obrębem tego schematu pozostawić „Beatę”, dużą, u nas nieznaną powieść, w której fantastyka najdziwaczniej łączy się z elementami, znanymi z grup innych). Charakterystyka ta zrobiona jest metodą Dibeliusa, to znaczy w jej świetle jasno rysują się składniki powieści Bronikowskiego, same zaś powieści całkowicie niemal nikną. Żałować trzeba, że autor poszedł drogą utartą, choć znajomość prac wymienionych przezeń w rozważaniach wstępnych a od Dibeliusa późniejszych, mogła go była pchnąć na tory bardziej nowoczesne i bardziej do celu wiodące. Tak jak rzeczy stoją w monografii, czytelnik jej trafia na zagadkę, jakie to czynniki zadecydowały o niezwykłej popularności romansów Bronikowskiego, i zagadki tej rozwiązać nie umie. Motyw zaś, którym autor wybór swej metody uzasadnia, wzgląd na dwudziestoletnią tradycję jej stosowania w naszej nauce, nie wydaje mi się przekonywający. Metoda ta miała sens na gruncie ogromnego materiału, jakim dysponował anglista niemiecki, praktyka zaś polska dowiodła, że w zastosowaniu do materiału nikłego otrzymuje się tutaj mnóstwo szczegóÅ‚ików, które nikomu na nic się nie zdadzą, bo chyba ktoś, kto podejmie nad naszym romansem pracę analogiczną do pracy Dibeliusa, nie pójdzie niewolniczo w jego ślady i stworzy sobie metodę własną.

Część druga, daleko cenniejsza, szczegółowo charakteryzuje to, co Bronikowskiemu zawdzięczali nasi powieściopisarze i poeci romantyczni, Bernatowicz, Skarbek, Nakwaska, Jaszowski, Słowacki, Czajkowski i Kraszewski. Galerię tę należało uzupełnić jeszcze Krasińskim, z którym autor załatwił się tylko w krótkim przypisie. Wywody młodego badacza obejmują mnóstwo szczegółów i szczegółików, niejednokrotnie bardzo interesujących a niemal zawsze dobrze udokumentowanych, oraz dwa problemy natury ogólniejszej, od których zależy historyczne znaczenie Bronikowskiego. Pierwszy z nich pokrywa się z tym, co o tych sprawach przed kilku laty pisałem, to znaczy wskazuje, że Bronikowski udostępnił i spopularyzował całość historii Polski jako tworzywo romansowe, to znaczy przełamał te konwenanse tematyczne, które przed nim obowiązywały. Drugi, w całej pełni autorski, to stwierdzenie, że Bronikowski, traktowany u nas jako stuprocentowy skotysta, był twórcą romansu dokumentarnego, a więc tego romansu, który wysuwano u nas później jako argument przeciw metodzie i manierze Scotta. Inna rzecz, czy dla późniejszych szermierzy tego romansu przykład Bronikowskiego był decydujący, czy nie ulegali oni innym zupełnie czynnikom, które kazały im od modelu szkockiego odwrócić się radykalnie. Problem ten nie należy może w całej swej rozpiętości do zakresu pracy o Bronikowskim, ale bez należytego ujęcia go niepodobna uniknąć przesady w ocenie znaczenia Bronikowskiego. Nie uniknął jej właśnie Rath, zbyt skwapliwie wywodząc z Bronikowskiego i całą twórczość Czajkowskiego i spory kawał twórczości Kraszewskiego.

Ta przesada, u młodego badacza, ponoszonego przez rozpęd autentycznych i rzekomych odkryć, zupełnie normalna, sprawiła, że Bronikowskiemu wyłącznie przypisano również ojcowstwo niejednego pomysłu literackiego, gdy w gruncie rzeczy twórca „Trzech kuzynów” był tylko jednym z ogniw w rozgałęzionej i bogatej tradycji. Do-

tyczy to między innymi tego, co w omawianej książce czytamy o motywie żyda-wiecznego tułacza, o baśniowym motywie ocalenia skazańca spod szubienicy, na której diabeł zawiesza manekin itd. itd. Spraw tych bez przeprowadzenia studium porównawczego rozwiązać drogą ustalania „wpływu" niepodobna.

Oceniając w całej pełni rzetelność wysiłków młodego badacza, zmieniającego dotychczasowy ugór w żyzny łan, wybaczyć mu można niejedną usterkę, płynącą z nazbyt spiesznego uogólnienia, trudniej natomiast pogodzić się z kwiatuszkami stylowymi, którymi wywody swe urozmaicić usiłował. Trudno poprostu dlatego, że czytelnik nie zawsze potrafi się zorientować, co to są „arystokratycznie chłonne nozdrza" na portrecie Bronikowskiego (20), lub czym ma być „słońce tropów" (118), gdzie o strefę podzwrotnikową najwidoczniej chodzi, ani też zrozumieć, jak to powieści stają się „sprawcami wartości" (25) lub jakim cudem „opis samotnego ostępu... podaje rękę porankowi" (34), ani też nie zgodzi się z autorem, że Orkan był twórcą „Roztoków" (141), o ile bowiem zdecydowalibyśmy się nawet na takie uproszczenie tytułu powieści „W roztokach", to musiałoby ono brzmieć „Roztok".

Warszawa. *Julian Krzyżanowski.*

PIERWSZY TOM LISTÓW ORZESZKOWEJ

Orzeszkowa Eliza. Listy. Tom I. Dwugłosy. Nakładem Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej, Warszawa - Grodno oraz Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska" 1937, str. IX, 527.

Dwugłosy, jako listów t. I z zamierzonych czterech tomów opracował L. B. Świderski — dając wybór korespondencji wielkiej powieściopisarki z Kraszewskim, Jeżem, Bałuckim M. Konopnicką, St. Krzemińskim, H. Skirmuntem, Wł. St. Reymontem. Tom wydany z pietyzmem z dużym nakładem wiedzy i pracy stanowi cenną pozycję w naszym ruchu wydawniczym. Powody wielorakie. Przede wszystkim listy te to wspaniały dokument dla zbliżenia do życia i twórczości Orzeszkowej, dla zrozumienia epoki pozytywizmu a obok tego niepospolite dzieło myśli i sztuki. Jeśli idzie o dokumentarną stronę wydawnictwa trzeba podkreślić, że w nowym świetle staje przed nami geneza wspaniałego dwugłosu „Ad astra", historia jedynej, aż do „Roman des quatre" chyba nie powtórzonej koncepcji. Plon wspólnej pracy powieściopisarki i oddalonego od niej setkami mil i granicą filozofa Garbowskiego stanowi bogaty materiał dla badacza literatury i psychologa twórczości. Rewelacyjnie przedstawiają się dzieje prac wydawniczo-księgarskich Orzeszkowej, jej zabiegi o byt instytucji wydawniczej, rozgałęziona sieć stosunków po krańce polskiego literackiego świata. A równocześnie ów świat polskiej literatury urasta w oczach czytelnika Listów-Dwugłosów do miar bohaterskich; ustawiczna, jawna czy podjazdowa wojna z cenzurą, historia zmagań książki z mocą wyższą, jej wzloty i upadki, składają się na obraz bolesnej martyrologii polskiej książki, temat dotąd nieopracowany, a tyczący przecież tak istotnej w ówczesnym życiu rzeczywistości narodowej. Powagę pozytywizmu, kapłaństwa, którym się namaściła ówczesna sztuka poznajemy z górnego tonu tej korespondencji, której żywotnością są wszelkie sprawy żywotne społecznie. Problemy ideologii narodowej,

oświata i wychowanie, postęp społeczny, zagadnienie asymilizacji i antysemityzmu, sprawa kobieca, konserwatyzm, a ponad wszystkim sens społeczny i istotność moralna pracy literackiej. Z tła epoki wyrasta ku nam wyraziście osobowość Orzeszkowej. Drogę jej myśli i idei widzimy jasną i niezałamaną. Bez wahań opowiada się po stronie ciągłego postępu, ciągłego dążenia pojętego nie jako oddanie się fali mody, lecz jako trudna walka. W bezwzględnej sprawiedliwości w stosunku do spraw widzimy przyczynę jej przeciwstawienia zarówno nowinkom (kosmopolityzm), jak zestarzałej tradycyjności (np. ultramontanizmu rozumianemu jako twierdza zacofania i konserwatyzmu). W bezwględnym umiłowaniu człowieka i bezwzględnej prawości, widzimy źródło jej pracy literackiej pojętej właśnie jako służba człowiekowi i społeczeństwu. W bezwzględnej uczciwości w stosunku do siebie samej i czysto-ludzkiego poszukiwania prawdy, widzimy przyczynę jej wewnętrznego narastania ku wyżynom „Chama" i „Ad astra". Listy - Dwugłosy odsłaniają nam wspaniałą drogę filozofa-człowieka od negującego pozytywizmu ku religijnemu sformułowaniu duchowości, jak pięknie podkreśla to przedsłowie. W ogóle Orzeszkowa z Listów staje przed nami w prawdzie człowieczeństwa czyli w dynamiźmie rozwijającego się duchowego organizmu, w dojrzewaniu myśli, talentu, poczucia odpowiedzialności. Już to samo owo odzwierciedlenie prawdy wewnętrznej samym ciężarem tematyki listowej przecież tak dalekiej od ekshibicjonizmu (skarży się z nieumiejętności zwierzania!), świadczy, że te listy są niepoślednim dziełem sztuki, że poza obliczem dokumentu, mają oblicze własnego swego piękna, że są dziełem kunsztu epistolograficznego. Nie tylko jednak „ja" autorki znajduje swój pełny i dostojny, niemal majestatyczny wyraz, znajduje wyraz i osobowość adresatów. Ileż jest pośredniej, oczywiście, charakterystyki np. Kraszewskiego w listach Orzeszkowej do niego, w samej ich budowie namaszczonej, zaokrąglonej, czasem sztywnej, lub ileż subtelnych ścieniowań, czy płochliwej gry świateł i cieni, wzruszeń i zachwytów w korespondencji z wysubtelnioną o poetyckiej naturze Konopnicką. A równocześnie ton nie załamuje się nigdy. Chociaż człowiek dojrzewając zmienia się, chociaż nasiąka odblaskiem duchowym korespondentów, trwa jeden ton świadczący o jedni całego tego miłością i zainteresowaniami złączonego świata: ton p o w a g i. Dodajmy, że korespondenci Orzeszkowej okazują się także mistrzami pióra; piękne i coraz piękniejsze są listy Konopnickiej, mocne, zwarte listy Skirmunta i pełne aforystycznych lśnień listy Świętochowskiego. Niestety możliwości wydawnicze pozwoliły tylko na wybór z obfitej korespondencji. Oczywiście uniemożliwia to ocenę piękna całości, odczucie estetycznej akuratności w budowie ogniw korespondencyjnych, jednym słowem, rozsmakowanie się w pełnym kunszcie epistolograficznym. Precyzja jednak dokonanej pracy wydawniczej, sumienność w opracowaniu podanego materiału, objaśnienia i przypisy, owo vademecum po trudnościach wspaniałego i śmiałego przedsięwzięcia gwarantują, że wybór wyłowił z oceanu perły. I chociaż wydane Listy nie zwolnią badacza od poszukiwań archiwalnych, dla miłośnika epoki i piękna będą zamkniętą w sobie i pasjonującą lekturą.

Łódź. *Stefania Skwarczyńska.*

WŁOSKA PRACA O XVII WIEKU W LITERATURZE EUROPEJSKIEJ

Meozzi Andreo. Il secentismo e le sue manifestazioni europee in rapporto all'Italia. Marinismo-gongorismo-preziosismo-lilismo-Schwulst. Nistri-Lischi Editori. Pisa. A. XIV. str. 312.

Meozzi postawił sobie za cel pracy dokonanie rewizji utartych poglądów na rzekomo doniosłą rolę Mariniego w literaturze europejskiej w. XVII. Stwierdziwszy, że w okresie tym Włochy tracą dawną hegemonię literacką, autor podnosi fakt ich dalszego oddziaływania na zagranicę w sferze niektórych form jak: dramat pasterski, melodramat, komedia dell'arte, nowela, trawestacja, parodia. Na tle tym kurczy się niepomiernie wpływ marinizmu, który w rywalizacji z żywym wciąż petrarkizmem schodzi zdecydowanie na plan dalszy. Prądy takie jak gongoryzm w Hiszpanii, precjozyzm we Francji, lilizm w Anglii, Schwulst w Niemczech nie dadzą się wyprowadzić z marinizmu, choć mają z nim punkty styczne. Co więcej, precjozyzm możnaby określić jako anti-marinizm, przesiąknięty rekwizytami poezji Petrarki. Niewolnicze naśladownictwo Mariniego występuje jedynie w Niemczech, przyczem lekkość i wytworność wzoru ginie w nieudolnych i prostackich rysach niemieckiego „kolossal".

Meozzi ujmuje secentyzm jako zjawisko międzynarodowe, czynnik nadrzędny w stosunku do marinizmu, jedno z dążeń wieku, związane z życiem dworskim i jego galanterią towarzyska, znajdującą ujście w programowej pogoni za nowością, pojętą jako cel i produkt metody. By zaskoczyć, zadziwić czytelnika, wprowadza się niezwykłe tematy, wyszukane odmiany ornamentyki stylistycznej, eksploatuje się motywy poetyckie w. XV. Powstaje powszechnie obowiązujący repertuar przenośni, porównań, antytez. Jednostronny kult wyobraźni doprowadza do alchemii i pirotechniki językowej. Ginie poczucie łączności między wyobraźnią, uczuciem, wolą i świadomością moralną, co odejmuje poezji nie tylko skuteczność oddziaływania, ale i godność. Pseudofantazja secentystów w pogoni za nowością okazuje się niezdolną do jej osiągnięcia. Przecenienie elementu malarskiego i muzycznego, bałwochwalczy kult barwy, dźwięku, figury stylistycznej samych dla siebie wytwarza jakby nominalizm poetycki, według którego wszelkich cudów należy oczekiwać od samego kunsztu wysłowienia. Najgłówniejsze asocjacje, najmniej oczekiwane porównania, spiętrzone metafory i hiperbole,całe serie antytez,wyszukane kombinacje uosobień, odbiegające dowolnie od punktu wyjścia, wszystko to występuje jako przejaw nie bujności wyobraźni, ale jej oschłości, którą trzeba zastąpić kalkulacją techniczną. Secentyzm nie zdołał wprawdzie wyniszczyć rdzennych talentów poetyckich, ale niejednego pisarza zmanierował i skłonił do akrobatyki słownej. W jego atmosferze samorodny i bujny talent Gongory rozproszył się na wiersze okolicznościowe i poetyckie igraszki. Secentyzm był we Włoszech objawem dekadencji w stosunku do poezji renesansu, a jego przedstawiciel Marino wyrósł na czołowego pisarza w swojej ojczyźnie. W innych literaturach, z wyjątkiem niemieckiej, która nie miała wówczas autonomicznego życia, prądy pokrewne marinizmowi nie decydowały bynajmniej o charakterze epoki. W Hiszpanii obok Gongory działają Cer-

wantes, Lope, nieco później Kalderon, w Anglii nie Lily reprezentuje literaturę krajową ale Szekspir i Milton, we Francji rozwija się wprawdzie precjozyzm, ale na plan pierwszy występuje twórczość Moliera, Corneille'a, Racine'a.

Niesłusznie więc, zdaniem autora, wyolbrzymiono znaczenie marinizmu w Europie, zwłaszcza że dążenia mu pokrewne nie były jego odblaskiem, ale stanowiły wraz z nim objawy tzw. secentyzmu i prócz tej wspólnej podstawy miały swe rodzime źródła i rodzime zabarwienie.

Marinizm okazał się prądem przejściowym i jednym z bardzo powierzchownych przejawów italianizmu w Europie. O twórczości Mariniego Meozzi wspomina mimochodem, jak o rzeczy dobrze znanej jedynie dla bliższego określenia podobnych zjawisk w innych literaturach. Nie daje on wyczerpującej charakterystyki żadnego z kierunków, oznaczonych w podtytule swego studium, poprzestając na zaznaczeniu ich cech wyróżniających w stosunku do secentyzmu. Raz po raz ucieka od głównego zagadnienia w sferę oddziaływań dawniejszych autorów i dzieł włoskich, co stwarza jakby drugą problematykę książki, problematykę jej tła.

Ostrze krytyki, zwrócone przeciw secentyzmowi, zwraca się równocześnie przeciw werbalistom współczesnym, stąd polemiczne zabarwienie wywodów. Mimo prokuratorskiego tonu i wyraźnej niechęci do badanych prądów, autor dokonywa orientacyjnego przekroju epoki i oznacza w nim zasiąg wpływu Mariniego. Brak uwzględnienia secentyzmu polskiego stanowi istotną wadę publikacji, uwzględniającej o wiele mniej wybitne zjawiska niż twórczość Andrzeja Morsztyna. Nieznajomość literatury polskiej zubożyła książkę o jeden z zasadniczych rozdziałów.

Warszawa. *Zofia Szmydtowa.*

W HOŁDZIE LEONOWI PINIŃSKIEMU

Księga pamiątkowa ku czci Leona Pinińskiego. T. I. Str. 454 + 15 ryc. Tom II. Str. 448 + 5 ryc. Lwów 1936.

W przedmowie do tej dwutomowej „Księgi", zarówno rozmiarami jak wytwornością wewnętrzną prześcigającej wszystkie, tak ostatnimi czasy liczne księgi pamiątkowe, zaznaczają nie podpisani autorowie, że nie wiedzieli zrazu, w jakiej formie złożyć hołd jubilatowi w pięćdziesięciolecie jego pracy naukowej. Przyczyną tego zakłopotania była rozległa skala zainteresowań i działania prof. Pinińskiego, „prawdziwie na miarę wielkiego humanisty". Część tych zainteresowań jego i czynów wyliczono, gdy go nazwano „uczonym prawnikiem i filozofem, estetą i mecenasem sztuki, mężem stanu i politykiem". Należało wspomnieć i jego wielką a fachową wiedzę filologiczną, świetną znajomość języków i literatur; należało też dodać mniej znaną okoliczność, że autor wnikliwych studiów o Schubercie i Wagnerze (którego badaczem prof. Piniński był już w r. 1883...) jest i twórczym kompozytorem muzycznym.

O wszechstronności umysłu prof. Pinińskiego może dać pewne pojęcie obszerna bibliografia jego prac drukowanych do r. 1935. Obok przemówień politycznych i mów dyplomatycznych, obok fachowych rozpraw prawniczych (zwłaszcza z dziedziny prawa rzymskiego), obok szkiców historycznych, obok wspomnień o wybitnych i pokrewnych duchach: Sienkiewiczu, Z. Mo-

rawskim (drukowane w RL 1928), Kazimierzu Morawskim, Jacku Malczewskim, arcybp. Bilczewskim, widzimy tu eseje z dziedziny sztuk plastycznych, uwagi o „Rozmyślaniach” Marka Aurelego, studia o Dantem, Goethem, Chestertonie, nade wszystko zaś o Szekspirze, ukoronowane wspaniałym dwutomowym dziełem „Shakespeare, wrażenia i szkice z twórczości poety” (Lwów, Ossolineum, 1924 — 1925).

Rzecz prosta, że skoro oficjalną i najbardziej specjalną dziedziną pracy naukowej jubilata było prawo, tedy w „Księdze pamiątkowej” znaleźć się musiało najwięcej rozpraw z tej właśnie dziedziny. Waga nazwisk wielka: Abraham, Bossowski, Chlamtacz, Czuma, Deryng, Dubanowicz, Głąbiński, Komarnicki, Koschembahr-Łyskowski, Kutrzeba, Osuchowski, Rafacz, Smolka, Starzyński, Winiarski, Wróblewski, Zoll... Ponieważ tylko rozprawa ostatniego z wymienionych poświęcona prawu autorskiemu, ma pewien związek z literaturą, więc na kartach „Ruchu Literackiego” zająć się musimy dziedzinami innymi, mniej licznie coprawda reprezentowanymi w „Księdze”, ale bardziej pokrewnymi zadaniom naszego pisma.

Taką dziedziną będzie najpierw historia wogóle, a w szczególności historia kultury. Badacza literatury naszej średniowiecznej zająć muszą nawet prace napozór od tej literatury (w znaczeniu ściślejszym) odległe, jak prof. Tymienieckiego rzecz o fazach dziejów ludności wieśniaczej w Polsce średniowiecznej, lub ks. Umińskiego rewelacyjne informacje o Andrzeju Polaku, biskupie meklemburskim w w. XIV, przyjacielu Janka z Czarnkowa. Dość obficie reprezentowane w „Księdze” rozprawy z dziedziny sztuk plastycznych (Batowski, Blumówna, Bochnak, Bulanda, Hornung, Kozicki, Lanckorońska, Walicki) raz po raz wskazują szlaki, którymi nadciągały do Polski wpływy zagraniczne w późnym średniowieczu, czy w wieku XVI lub XVII. Na rozczytywaniu się w takich pracach nieraz dużo skorzysta i badacz literatury, gdyż słusznie na kartach „Księgi” powiada prof. T a t a r k i e w i c z, że „w historii literatury najogólniejsze kierunki badania są najwyraźniej te same, co w historii sztuki plastycznej”. Cytowane zdanie wyjęte jest z rozprawki „Historia i klasyfikacja”, zawierającej przede wszystkim roztrząsanie zagadnienia nie obcego badaniom literackim, a ostatnimi czasy będącego w pewnej mierze przedmiotem silnych sporów. Autor przeciwstawia się poglądowi Windelbanda i Rickerta, uważa, że „wydzielanie wszelkiej klasyfikacji w oddzielną naukę jest odrywaniem organicznej części pracy historycznej”. Nie bez znaczenia dla historyka literatury może będzie szkic B r a h m e r a „Z dziejów polskiego kostiumu wśród obcych”, gdzie zebrano garść literackich głównie przykładów na wędrówkę polskich nazw odzieży, takich, jak c z a p s k a (czytaj: k z a p s k a), p o l a c c a itp. Ponieważ zajęto się niedawno literaturą czasów targowickich, więc pewnie na niejeden w niej szczegół odrobinę światła rzuci rozprawa prof. Dembińskiego o bytności ostatniego ambasadora angielskiego w Polsce. Także przedmiotem zainteresowania dla polonisty być może piękny szkic ks. biskupa G o d l e w s k i e g o o Wawrzyńcu Medici, a w większej mierze rozprawka W. Ś m i a ł k a o „Utopijnych rojeniach w starożytności”, gdzie jest przygodna wzmianka i o „Doświadczyńskim” Krasickiego, zawierająca na tle porównawczym wcale korzystny

sąd o etycznych pobudkach tego autora.

Prócz garstki filologów-klasyków oddali hołd jubilatowi dwaj seniorowie-angliści. Prof. D y b o s k i anglistykę związał z prawoznawstwem, dając wiązankę „Myśli o moralności życia publicznego w Anglii", jakby pendant do dawniejszego swego studium o charakterze Anglików. Prof. T r e t i a k zajął nas pisarzem, któremu literatura polska, od Prusa do Makuszyńskiego, wiele zawdzięcza: Dickensem; zestawił go z Szekspirem, jako że ci dwaj pisarze angielscy najsilniejszy wpływ wywarli na literaturę swego narodu i europejską, i że oni właśnie, wielki dramaturg i wielki epik — mają „cechy wspólne już nie tylko w budowie utworów, w mieszaniu i syntezie składników, ale także i w życiu". Oni więc skupiają w sobie cechy najbardziej odrębne psychiki angielskiej i angielskiej twórczości.

Dwie rozprawy prof. Fischera i p. Wójcik-Keuprulian dotyczą kultury ludu polskiego, mówią o tym, jak pierwiastki ludowe przyczyniały się do kształtowania twórczości muzycznej (Chopin) i zdobniczej. Reszta prac, niestety stosunkowo najmniej liczna, ma już bezpośrednią styczność z literaturą polską. Nimi więc zajmiemy się z kolei, przybijając już do ostatecznego kresu naszych peregrynacji po różnych obszarach kultury.

„W kole zagadnień Bogurodzicy" znalazł się prof. J a c h i m e c k i już nie po raz piewszy. Pamiętamy jego dwa studia o rękopisie cieszyńskim „Bogurodzicy", przynoszące nowe zupełnie oświetlenie melodii tej pieśni (a dodajmy też: jej tekstu słownego i paleografii), a także jego ujęcie sprawy w dziele „Polska, jej dzieje i kultura". Obecnie dorzucił szereg nowych spostrzeżeń, które mają na celu „wskazanie pozostających do rozwiązania problemów". Jednym z problemów tych jest chronologia hymnu „Rex Christe primogenite", śpiewanego i u nas na procesjach Bożego Ciała (znajduje się dość często w modlitewnikach polskich, mając to właśnie przeznaczenie), a wedle wskazówek uwzględnianych już przez Hiplera (1897) zawierający motyw muzyczny pokrewny jednemu z motywów „Bogurodzicy"; niestety hymn ten, mający strofikę ściśle ambrozjańską, nie został dotąd należycie zbadany przez hymnologistów. Prof. Jachimecki zbija kilka mylnych sądów A. Polińskiego i wyznaje, że kwestja poruszona przez tego badacza pochodzenia melodii „Bogurodzicy" „pozostała nadal otwarta, chociaż jemu samemu wydawało się, że dylematem jest w niej wybór tylko między źródłem łacińskim a czeskim".

Poddawszy krytyce tę długo pokutującą u nas tezę, jakoby pieśni polskie religijne mogły pochodzić „tylko" ze źródeł czeskich lub łacińskich, prof. Jachimecki słusznie pisze dalej: „Okoliczność, że w księgach liturgicznych zawarty jest jakiś hymn lub jakieś responsorium, nie może automatycznie prowadzić do przyznania użytej w nich melodii bezwględnego prawa pierwszeństwa przed jakimiś innymi utworami, w których ta melodia się pojawia. Należy bowiem pamiętać, że skarbiec śpiewów liturgicznych narastał powoli przez długie wieki, że znajdują się w nim śpiewy bardzo stare, sięgające wieków starożytnych i śpiewy o tysiąc i więcej lat od nich młodsze".

W poczuciu tego prof. Jachimecki staje na stanowisku, że badania nad stroną muzyczną utworu luźno się tylko łączą (albo i zgoła nie łączą) z badaniami z zakresu lingwistyczno-literackiego. I słuszne to

stanowisko! Uczą nas dzieje muzyki i literatury, że do tej samej melodii dorabiano w ciągu wieków nieraz i kilkadziesiąt różnych utworów literackich (w hymnografii greckiej wieków VI — XII wciąż spotyka się adnotację: p r ò s t ò—czyli: śpiewać w e d ł u g t e j czy innej powszechnie znanej melodii kościelnej). A bywało też i odwrotnie: że do jednego tekstu komponowano w ciągu wieków kilkadziesiąt różnych melodyj; tak np. tekst „Veni Creator" powstał w wieku VIII lub IX, a melodie dorabiano do niego w wieku X, XII, XIV, XVII, XIX, a nawet XX! Kilka melodii, mówiąc ściśle, posiada i „Bogurodzica"; prof. Jachimecki zaznacza istnienie wersji kunsztownych, melizmatycznych, wykonywanych przez wprawnych, wyszkolonych śpiewaków, oraz wersji prostych, sylabicznych, przystępnych i dla ludzi niewykształconych.

Jak literaturze średniowiecznej, tak i humanistycznej poświęcona jest w całej „Księdze" tylko jedna praca, a mianowicie „notatka" prof. Z. L i s o w s k i e g o pt. „Zamoyski czy Sigonius?" Chodzi o sprawę autorstwa traktatu „De senatu Romano". Sprawa to długa i mająca swoją historię. Prof. Lisowski zapoznał się wybornie z całą literaturą przedmiotu, ocenił ją bystro i bezstronnie. Z argumentów swych poprzedników wybrał tylko te, które wytrzymały próbę krytyki, po za tym dał argumenty własne, w których oparł się: a) na formie dziełka, b) na jego treściowej zawartości, c) na brulionach dziełka „De senatu", pisanych ręką kanclerza, a znajdujących się w Bibliotece Ordynacji Zamoyskich. Wysnuwszy słuszny wniosek, że „traktat de senatu pisał Jan Zamoyski", autor jednakże nie zdobywa się na zupełny sceptycyzm wobec pretensji autorskich Sigoniusa i przypuszcza pewien jego pośredni współudział w owej pracy. Wywody są przeprowadzone zręcznie i spokojnie, przy obfitym i sumiennym cytowaniu źródeł.

Od epoki humanizmu przenosimy się następnie wprost do epoki romantycznej, której poświęcono kilka rozpraw. A więc najpierw pomost między starymi i nowymi laty rzuca J. A d a m u s, kreśląc „O Lelewelu parę uwag": wskazuje, co nowego wniósł Lelewel i okres romantyczny w stosunku do swego poprzednika Naruszewicza, następnie określa stosunek historyków doby lelewelowskiej do pokolenia następnego, szkoły krakowskiej. Wniosek: „Lelewel jako historiograf odcina najwyraźniej dwie epoki od siebie; my budujemy ciągle na tych fundamentach, jakie on postawił historiografii polskiej".

Z uwagami o Lelewelu w dobrym sąsiedztwie znalazła się ciekawa rozprawa prof. B u j a k a o mało znanym pisarzu Emigracji polistopadowej, Oskarze Żebrowskim. Dziełko Żebrowskiego „Polska, ogólny zarys przyczyn wzrostu i upadku" wydane w r. 1847, a jak współczesna mu broszura Słowackiego zaadresowane do Czartoryskich, ma może pewien podkład w pismach Lelewela, w większej jednak mierze jest zawisłe od teoryj Hoene-Wrońskiego. W wywodach autora znać wykształcenie przyrodnicze i techniczne. Zastanawiają one tym właśnie naukowym podkładem, która, jak mówi prof. Bujak, „wytrzymuje konfrontację z uznawanymi dzisiaj poglądami naukowymi".

Sferą oddziaływania Czartoryskich zajął się raz jeszcze prof. Handelsman, ogłaszając nieznany list Michała Grabowskiego do księcia Adama; przy sposobności zwrócił uwagę na ożywione zajęcie się

osobą i działalnością Grabowskiego w ostatnich czasach.

Prof. Kleiner poświęcił szkic osobny motywowi „pielgrzyma" i pielgrzymstwa w dziełach Mickiewicza. Motyw ten snuje się w różnych odmianach przez „Sonety", lirykę rzymską, „Księgi pielgrzymstwa" — aż do czasopisma, które otrzyma tytuł „Pielgrzym". Motyw ten (i sam wyraz) nasuwał się poecie pod wrażeniem własnej tułaczki, ale miewał też i przyczyny zewnętrzne; pewną rolę grały wdzięczne adaptacje rymowe (pielgrzyma-oczyma - trzyma, pielgrzymie - imie - olbrzymie), co u poetów często pod uwagę brać trzeba; w większej mierze wpłynął tu przykład poetów angielskich (Byron, W. Scott), a także niemieckich, którzy wprost nadużywali wtedy słów: Pilgrim i Wahlfahrt.

Prof. Bruchnalski ukazał „Paralele niektóre między Panem Tadeuszem a Męczennikami"; odnoszą się one głównie do wątku erotycznego: roli Zosi poniekąd odpowiada u Chateaubrianda rola Kimodokai, roli zaś Telimeny — rola Welledy. Właściwy temat rozprawy poprzedził prof. Bruchnalski uwagami o aspiracjach epickich, jakie od lat najmłodszych towarzyszyły Mickiewiczowi.

Nietylko Michała Grabowskiego zaczęto sobie przypominać ostatnimi czasy. Do takich pisarzy „odkopywanych" należy i T. T. Jeż, którym zajęto się obecnie z kilku stron jednocześnie. Ciekawe przyczynki do jego twórczości dorzucił w „Księdze" prof. S. Witkowski. Przedmiotem uwagi uczonego stała się powieść „Asan", w której Jeż przedstawił wyzwolenie się Bułgarów spod jarzma bizantyńskiego. Prof. Witkowski, jeden z tych kilku uczonych polskich, którzy znają literaturę grecką wieków średnich, omówił fachowo całą bizantologiczną stronę tej powieści, stwierdzając słusznie, że Jeżowi nie chodziło o ścisłość historyczną, ale o tendencje patriotyczne, gdyż utwór cały to raczej przejrzysta alegoria dziejów Polski w latach porozbiorowych. Podzielając te sądy, pozwolę sobie na małą uwagę co do jednego zdania rozprawki. Prof. Witkowski pisze, że mamy w Polsce (dodaje coprawda „o ile nam wiadomo") tylko jedną powieść na tle dziejów cesarstwa bizantyńskiego. Słowa te przestały być prawdą, skoro w II tomie „Krzyżowców" Zofia Kossak dała (idąc za Dichlem i Schlumbergerem) tak wspaniałą i tak prawdziwie nakreśloną wizję Bizancjum, jakiej nie ma w żadnej literaturze, później zaś wsparła ją pięknym obrazem upadku Konstantynopola w „Puszkarzu Orbano". Dodać można, że już przed tym literatura nasza posiadała znakomity, w wielu szczegółach błędny, ale w całości zadziwiający niejednokrotnie swą intuicją obraz Bizancjum: mówię o „Basilissie Teofanu" Micińskiego; teraz znów F. Płażek w „Zdobyciu Trebizondy" dał ponowną próbę dramatu na tle bizantyńskim.

Dyr. Bernacki zestawił barwną mozaikę z kilku materjałów: dwu listów Sienkiewicza, własnych komentarzy oraz wspomnień swego teścia, art. mal. Pochwalskiego. Dodane do tekstu rysunki Sienkiewicza („polowanie") i Pochwalskiego (kapitalny portret Sienkiewicza!) dopełniają miłej całości.

Poza wspomnianymi ilustracjami mamy jeszcze w obu tomach sporo tablic z rycinami. „Księga" powinna przywabić niejednego nabywcę: uczonego, bibliofila, estetę...

Madison, Wis. *Józef Birkenmajer.*

OSTATNIE NORWIDIANA

Pigoń Stanisław. Krasiński w „Zwolonie” Norwida. Warszawa 1937, odb. z Myśli Narodowej 1937.

Życzyński Henryk. Norwida „Zwolon”. Lublin 1937, odb. z Prądu.

Nycz Bronisław. Norwidowa monologja „Zwolon”. Kraków 1937, Prace z historji literatury pol. nr. 4.

Piechal Marjan. O Norwidzie. Warszawa 1937, Rój.

Norwid C. Słowo i litera. Garść listów. Wydał S. Pigoń. Odb. z Myśli Narodowej 1935, Warszawa 1936.

Norwid C. Z korespondencji... Wydał S. Pigoń. Odb. z Głosu Narodu, Kraków 1936.

Norwid C. Listy do Br. Zaleskiego. Wydał S. Pigoń. Odb. z Głosu Narodu, Kraków 1937.

Po dotychczasowych dorywczych sądach o „Zwolonie”, wypowiadanych przez Miriama, Ujejskiego i Pośpieszalskiego, mamy oto jednocześnie trzy nowe głosy o tej „monologji”, jak nazywa „Zwolona” autor, kładąc w ten sposób decydujący nacisk na myślowe wartości utworu i jego symboliczny charakter. Głosy te, to dwie rozprawki: Pigonia (str. 32) i Życzyńskiego (str. 14), oraz duża, wyczerpująca monografja Nycza (str. 140).

Trzeba powiedzieć odrazu: jakkolwiek studja te pogłębiają naszą wiedzę o „Zwolonie”, a także i o innych utworach Norwida, pozostających w promieniu tej monologji (np. przez analizę wiersza „Jeszcze Słowo”, dokonaną przez Życzyńskiego i Nycza), jakkolwiek rzucają snop światła na atmosferę duchową, w której tkwił poeta w l. 1848-9, jakkolwiek wreszcie rozwijają i dopełniają z konieczności zwięzłe uwagi krytyczne Przesmyckiego, uwydatniając ideę utworu i jego znaczenie tak historyczne, jako też stałe (z istotą rzeczy na pierwszem miejscu należy tu postawić książkę Nycza, dającą m. in. poprawną analizę stylu, języka, wiersza, oraz pokrewieństw i związków literackich) — to jednak wszystkie te trzy prace obfitują w całe mnóstwo nieporozumień, cofając się w paru punktach w stosunku do Miriama.

Pochodzi to stąd, że krytycy, zgadzając się w zasadzie na symboliczny charakter utworu, co najlepiej formułuje Życzyński na str. 6 swej rozprawki, nie umieją poradzić z celowo ogólnikowemi, a czasem wręcz groteskowemi zarysami postaci i wypadków, z symbolicznemi skrótami i niedomówieniami autora, i bez żadnej potrzeby, wbrew duchowi utworu i wyraźnym intencjom twórczym poety, starają się konkretyzować te postaci i wypadki, lokalizować je w czasie i przestrzeni, stosując kryterja zapewne odpowiednie do utworów realistycznych, lecz tu stanowczo nie na miejscu.

Zacznę od tła utworu. Norwidowi chodzi wyraźnie o wykazanie powszechności zjawisk, które się dzieją przed oczami widzów. Pośpieszalski słusznie, mojem zdaniem, podkreślił dążność poety do zacierania w utworze czasu i miejsca, i zwrócił uwagę na „stylizację bajkową” dramatu, na „mieszanie elementów rozmaitych epok i kultur”, acz — dodajmy — z wyraźną przewagą polskości i historycznej doby z l. 1848-9. Sąd ten przyjmuje naogół Nycz (str. 27, 70 i 74), ale dla Pigonia jest to „dramat o polskim trudzie”.

Drugi błąd, wspólny wszystkim trzem autorom, to usilne doszuki-

wanie się pod poszczególnemi postaciami dramatu konkretnych odpowiedników w rzeczywistości. Więc według Pigonia i Życzyńskiego Zwolon to Krasiński. U tegoż Życzyńskiego Szołomem jest Towiański, Bolejem — Mickiewicz, ba, nawet Wacław — to Wacław Zaleski, gubernator Galicji. Pigoń, opierając się na wymianie wierszy między Norwidem a Krasińskim, skłonny jest w pacholęciu (którem?) dostrzegać samego Norwida.

Nycz, acz trafnie stwierdza, że „postaci „Zwolona" są symbolami pewnych myśli poety" (str. 97; niepotrzebnie tylko krytyk dodaje tu przysłówek „jakby"; toć to oczywista i stała metoda Norwida; dość przecież przypomnieć sobie Norwidową charakterystykę postaci w „Balladynie"); chociaż słusznie podkreśla, że poeta zawsze zachowywał krytyczny względem Krasińskiego stosunek (str. 13), co wyklucza upostaciowanie jego w naczelnym bohaterze dramatu; aczkolwiek wykazuje, że Zwolon jest to wogóle człowiek, idący po linji woli Bożej, (więc mógłby nim być jeszcze lepiej i sam Norwid i np. papież Pius IX) — to jednak i on, Nycz, nie jest wolny od skłonności konkretyzacji w stosunku do postaci, widząc np. prototyp Szołoma w... Jatowcie, owym nieszczęśniku, co nadużył zaufania Norwida w r. 184-; Wacław zaś i Porcja — to rzekomo tenże Krasiński i... Delfina. (Raczej należało tu zwrócić uwagę, że Porcja to imię małżonki Brutusa, co przecie wyraźnie wskazuje na intonację Norwida w powtórzeniu tu tego imienia).

Nie trzeba chyba tłumaczyć, że wszystkie te przypuszczenia są oparte na dalekich i ponaciąganych skojarzeniach, toteż naogół nie odpowiadają intencjom autora. Życzyński, z lekkiej ręki Wasilewskiego, twierdzi nawet, że Norwid „miał zamiłowanie do kompozycji, obliczonej na z g a d y w a n i e". (Ot, figlarz!) Toteż tak on, jak i inni, starają się „zgadywać", co autor „realnego" ukrył pod tym lub owym symbolem, acz Nycz tak przecież słusznie chciałby „wykluczyć dosłowną i realistyczną interpretację" (str. 59), ograniczając, niestety, tę zdrową tendencję do ostatniej (?) tylko sceny „Zwolona". Ależ Norwidowi szło tu przecież właśnie o pokazanie tego, co jest nierealne, co jest ogólne, symboliczne, to też miał prawo rzecz ująć i ujął ją tak, że czytelnik nie ma wiedzieć i nie wie, jako on, jako czytelnik, (który przenika intencje autora tylko o tyle, o ile są one wyrażone w dziele), co się tam działo w kuchni autorskiej. Gdy tedy czytelnik dzieła symbolicznego wychodzi poza swą rolę właściwą, może zapewne sobie snuć nieobowiązujące dywagacje, lecz pozostają one poza krytyką literacką, przekraczają jej prawo, stają się uzurpacją.

Widać to zwłaszcza w dalszych pomysłach krytyków. Więc Miriam arcysłusznie mówi o Zwolonie, jako o człowieku „odsuniętym w kulisy sceny świata", jako o „bojowniku prawdy", podległym „wysamotnieniu — w murach obojętności". Tylko do tych wniosków doprowadza nas ścisła analiza tekstu. Użyty przez „matkę" wyraz „pogrzeb" jest jeno symbolicznem określeniem obłóczyn Zwolona, o których tak przecież wyraźnie mówi „dziecię".

Aliści Pigoń i Nycz pragną koniecznie Zwolona uśmiercić, choć Nycz najsłuszniej pisze, że śród innych postaci Zwolon szczególnie jest „usymbolizowaniem pewnej idei", mianowicie „myśli zwolenia Polski" (str. 43-44). A idea ta w utworze jest prześladowana, odsunięta, zlekceważona, ale nie umiera.

I znowu w ścisłym z tem związku pozostaje postać „pacholęcia". Wbrew wyraźnym tu intencjom autora, przedstawiającego kilkoro dzieci, co najmniej czworo, wszyscy trzej krytycy, zwłaszcza zaś Nycz, mówią o jednem Pacholęciu, pisząc tę nazwę przez duże P, jakkolwiek mowa tu o „jakiemś tam" dziecku, jak to oczywiście słusznie stwierdza Przesmycki.

Rozważmy bowiem: pierwsze pacholę, „ogrodowe", „służy" przy ogrodzie, zależąc oczywiście od innych sług królewskich, które wywierają na niem swą własną krzywdę. Pacholę wzamian mści się na dzbanach (podobny motyw spotykamy w „Kleopatrze").

Drugiego „chłopca" widzimy z matką na rynku. Ujmuje się on, prawda, przed matką za Zwolonem, ale skarcony przez nią, zdradza swe złe instynkty, co wywołuje u matki okrzyk: „To mi szatanek!"

Ten sam „chłopiec" (zwany też tu „dziecięciem") w scenie przedostatniej mówi o tajemniczem zamurowaniu Zwolona. Nie do niego wszakże specjalnie „mówi" ręka nowego zakonnika, lecz do wszystkich zgromadzonych w kościele.

Trzecie dziecię — to pupil królewski. Tu nie jest jasne, czy to on śpiewa, czyli też znów ktoś inny, mówiący o nim i powtarzający słowa anioła, zwrócone do umierającego dziecka. Przecież po tym śpiewie dziecię zapytuje anioła o jego imię. Jakżeby tedy mogła to być jedna osoba?

Wreszcie inne, czwarte (lub piąte) już „pacholę" pojawia się w scenie ostatniej.

Tu wypływa interpretacja tej sceny.

Ujejski, zgodnie z duchem całej twórczości Norwida, mówi: „Brak końca jest celowy". Miriam jeszcze dawniej równie przekonywająco podkreślał „tymczasowość", zawartą w finale. („Z głowniami z n ó w lecą", a więc nic się jeszcze definitywnie nie dokonało. Zupełnie podobnie jest ujęty finał „Świętego Pokoju", z jego refrenem: „jeszcze tylko"!)

Aliści już Pośpieszalski wszedł tu na manowce „optymizmu", mówiąc o „czynie wyzwoleńczym" tego jakiegoś pacholęcia, które ma być „dziedzicem myśli Zwolona" i „pogromcą króla". Także Pigoń mówi o „ostatecznem zwycięstwie Pacholęcia", tego „duchowego następcy Zwolona". Cieszy się też szanowny profesor, że „król poległ". Podobnie u Życzyńskiego Pacholę, „spadkobierca myśli Zwolona... zabija despotę".

Otóż pomysły te nie mają żadnego uzasadnienia w tekście dramatu, będąc zresztą w zupełnej sprzeczności z całą logiką twórczości Norwida. Raz tylko jeden spotykamy się u niego z optymistycznym finałem, a to w „Pierścieniu wielkiej damy", ale i tu widzimy przecież pełną melancholji ironję, którą poeta wita sam swój własny optymistyczny wybryk. Przecież poeta stale podkreślał moment niedopełnień w życiu i w sztuce. „Prawda się razem dochodzi — i czeka". To też i tu w „Zwolonie" myśl jest jasna. W komentarzu do monologji, zawartym w liście do Lenartowicza (1851), autor podkreśla: „Młode pokolenie kończy nadzieją i konwulsją natchnienia". Więc na samym końcu jest nadzieja tylko, nie zaś dopełnienie zwycięskie.

Trzeba przyznać, że Nycz, acz i on broni optymistycznej interpretacji, nie jest wolny od pewnych wątpliwości. Sądzi słusznie, że „dramat się urywa" (47), że wypadki są „ostatecznie nierozegrane" (81), ale, żeby usprawiedliwić jakoś swą

nieporadność, pisze dalej: „Nie można uważać za eksperyment udany mieszanie elementów symbolicznych z takiemi elementami fizycznemi, których zewnętrzna jaskrawość nie dopuszcza, że kryje się w nich wewnętrzna treść symbolu" (83).

Gdybyśmy się zgodzili, że nie tylko scena ostatnia, ale nawet cały utwór jest eksperymentem nieudanym (piszący te słowa nie jest daleki od tego wniosku, który podzielał bodaj sam autor, odnosząc „Zwolona" do okresu, w którym o „sztuce był zapomniał", by do niej „powrócić" dopiero w trakcie pisania „Bogumiła"), to i w takim nawet wypadku nie jest rzeczą zrozumiałą, dlaczegobyśmy nie mieli traktować całości „Zwolona", a więc i jego sceny ostatniej, jako symbolu, niezależnie od tego, jakiej tu „mieszaniny" użył autor.

Niezrozumienie konieczności zajęcia tej postawy wobec „Zwolona" jest niewątpliwie piętą achillesową wszystkich trzech omówionych studjów.

Jeszcze drobny szczegół: Nycz wszędzie pisze o Bog*u*rodzicy, jako o jednym z motywów dramatu. Winno być oczywiście: Bog*a*rodzica, jak u Życzyńskiego.

*

Książka Piechala o Norwidzie świadczy dobitnie, że dobra wola, choćby poparta wyraźną sympatją dla przedmiotu badań, nie wystarcza tam, gdzie trzeba jeszcze wytrawnej dyscypliny myślowej, oraz sprawnej, uporządkowanej, konsekwentnej pracy literackiej.

Chaos — to najwybitniejsza cecha tej książki. Dążąc do wykrycia związków Norwida z epoką jemu współczesną, związków nie towarzyskich, ani też literackich i filozoficznych (co było przedmiotem książki Arcimowicza), lecz społecznych, Piechal miał przed sobą drogę wdzięczną i niemal nieutorowaną. Wiemy przecie, że zainteresowania społeczne Norwida były nader żywe, że zwłaszcza w pierwszej epoce jego życia górowały nad innemi. Ale Piechal odrazu utrudnił sobie orjentację w przedmiocie, wszedłszy na tory ideologji marksistowskiej i stosując kategorje materjalizmu dziejowego do zjawisk bardzo skomplikowanych i niedających się w nich zamknąć. Aż się tu roi od terminów: feudalizm, drobno-mieszczaństwo, proletarjat, kapitalizm, terminów, stosowanych na dobitkę zupełnie niekonsekwentnie. Np. na str. 50, 79, 81, 187. Norwid — to feudał, gdy gdzieindziej (46, 51, 139, 189) — to przedstawiciel drobno-mieszczaństwa i liberalizmu, ba, drobno-obszarnictwa (186; autor nie rozumie snadź tkwiącej w tem określeniu contraditionis in adiecto)! Kiedyindziej, odwrotnie, Norwid — to wróg tegoż drobno-mieszczaństwa (53, 59, 60, 91, 196, 197), zdolny zapłodnić twórczo dzisiejszy, z XX w., proletarjat, który w nim „może dla siebie znaleźć oparcie i pomoc w walce ze zmorą mieszczaństwa" (197); to również „ewangelista idei kolektywizacji"! (199), a także apostoł „narodowego socjalizmu i faszyzmu i dyktatury opatrznościowego męża stanu" (191). „Terminologia nieco inna, ale sens ten sam", dodaje autor. Toteż dostrzega on „identyczność rozumienia wielkości moralnej u Norwida i Piłsudskiego" (str. 200). Wszakże Norwid w wierszu „Wielkość" uważał pokorę za konieczną cechę wielkości (cyt. na tej samej str. 200). Wszakże jego zasadą było: „Wolno idei bronić, nie wolno jej zdobywać krwią" (na tej samej str. 200). Przecież kropka w kropkę jak w

przewrocie majowym 1926, który na tejże nieszczęsnej 200 str. apoteozuje autor.

Poza tą nawskroś chybioną koncepcją znajdujemy u Piechala całe mnóstwo błędów drobnych. Nazywa on np. Barchoba w „Quidam" typem dodatnim (74), Różę zaś w „Stygmacie" ujemnym (115). Powinno być naodwrót. Poeta oświadcza się Marji Trębickiej nie z Ameryki (95), lecz jeszcze z Paryża. Autor nie rozumie, co to są u Norwida dwie różne „kasty": „wiedna" i „mająca czystą serca wolę" (125). Toć to są: 1) ludzie estetycznie wychowani, 2) obdarzeni bezpośrednią wrażliwością estetyczną. Podobnież „synowie ucisku" (na str. 65 i 143) — to poprostu Rosjanie, zaś „syn ofiary" — to ów Gajewski. Myli się też Piechal, twierdząc, że „stosunek Norwida do Francji był wybitnie negatywny" (197). Nic podobnego. Dość przypomnieć sobie jego wiersz pt. „Jeszcze Francja nie zginęła!"

Słowem, resumując, dochodzimy do przekonania, że książka Piechala, to jedno ciągłe nieporozumienie, mutatis mutandis takie same, co u Wasilewskiego, acz stosunek uczuciowy obu pisarzy do Norwida jest wręcz odwrotny. To też tak z jednej jak i z drugiej książki dla naszej wiedzy o Norwidzie pozostają tylko ułamkowe trafne spostrzeżenia, jak np. u Piechala naogół dobrze ujęta kwestja żydowska u Norwida.

*

Trzy zbiory listów Norwida, ogłoszonych ostatnio przez prof. Pigonia, w liczbie 116 (ponadto 18 rozprawek), nie tracą na wartości, aczkolwiek już wyszedł z druku olbrzymi zbiór 846 listów tego poety w wydaniu Zenona Przesmyckiego Zbiór ten, jak wiadomo, zupełnie jest pozbawiony przypisów i komentarzy, w które, przeciwnie, Pigoń zaopatrzył swe publikacje. Komentarze te, acz nader zwięzłe, często są cenne i wprost konieczne, acz i śród nich zdarzają się błędy. Więc np. sądzę, że list z dnia 14. III. 1846 (w I zbiorze) nie był pisany do Marji Kalergis (ani zresztą do M. Trębickiej, jak sądzi wciąż Przesmycki), ale do jakiejś trzeciej osoby. Podobnież w komentarzu do listu do Br. Zaleskiego z r. 1875 (zbiór II, str. 95), mylnie wydawca poprawia poetę, który ma rację z owym Korffem (patrz B. Limanowskiego „Histopowstania 1863-4 r., wyd. II, str. 219; oraz Norwida „Fulminant" i list do W. Bentkowskiego z dn. 20. V. 1863).

Poza temi drobnemi usterkami, trzeba jednak podnieść zasługę wydawniczą Pigonia, który usilnie się stara „dzieło twórcze Norwida, pełnię jego wysiłku artystycznego wpleść w ciąg realnie ujętego życia kulturalnego epoki" (słowa Pigonia w I zb. str. 29). Niepodobna zrozumieć co w tych słowach znalazł Przesmycki obraźliwego dla Norwida, gdy we wstępie do listów (Pisma VIII) przytoczył je, zaopatrując w kilka wykrzykników i pytajników, dodawszy potem: „Dość tego zakłamania!" (?).

Czyż doprawdy sędziwy i zasłużony wydawca Norwida sądzi, że kopietyzm dla wielkiego poety koniecznie wymaga wzgardy i awersji do każdego, co na swoją rękę pragnie jemu służyć?

Wilno *Stanisław Cywiński*

N O T A T K I

METODA CZY ŻARTY?

W dociekaniach nad staroruskim „Igorem” i nad noworuskimi bylinami stosował prof. J. Krzyżanowski (por. między innymi RL XII, 81 - 86), wszelkie metody z takimi wynikami, że badacz w tych dziedzinach lepiej uświadomiony, nimi przerażony jęknie. Fakty bowiem, przeczące uprzedzeniom autora, poprostu odtrąca; prawdzie na przekór twierdzi lub przeczy, stale fałszywie; zamiast argumentów pociesza ukazywaniem gruszek na wierzbie; dodaj do tego sporą dawkę nieuprawnionego, więc taniego sceptycyzmu, i galimatjas jego gotowy. Że nie krzydzę autora, oto dowody.

Po r. 1800 (tj. po wydrukowaniu „Igora”) wydano w kilkadziesiąt lat później „Zadońszczynę”, sławiącą pierwsze walne zwycięstwo Moskwy nad Tatarami (r. 1380). Nikt, kto „Zadońszczynę” czytał, nia wątpił na chwilę, że ona naśladuje „Igora”; na przekór tej niezbitej prawdzie twierdzi autor, że to przeciwnie „Igor” ją naśladował, że „fałszerze“ wedle niej „Igora” lepili. Ależ jego to fałsz, iście groteskowy, np. poprawną frazę Igorową, „o ruska ziemio tyś już za górami” (szełomianem) przekręciła „Zadońszczyna” w „tyś za carem Salomonem“ itd. Żeby zatuszować takie zbłaźnienie ukazuje autor gruszki na wierzbie: mniemani „fałszerze mieli jakiś lepszy odpis Zadońszczyny” (niby bez tej groteski!), ależ ile wiem we wszystkich odpisach „Zadońszczyny“ ten nonsens z carem Salomonem figuruje na tym samym miejscu (por. wydanie Simoniego tekstu z roku 1470 najstarszego, z wydaniem zupełnie odmiennego tekstu w chrestomatji Busłajewa). O innych faktach powinien był autor coś wiedzieć, zanim ferował wyroki banicji na „Igora“, np. że i fałszerze mniemani sami go nie rozumieli, z owego „szełomiana” zrobili nieistniejącą wieś koło Perejesławia, albo „kmieci” (rycerzy) Igorowych wyłożyli jako polskie „ku mecie“ (k metie) itd. Że u nas C. Godebski z zupełnej nieznajomości rzeczy, a w Moskwie Kaczenowskij, z zasady wszystkiemu staremu przeczący „Igora“ odsądzili, a dziś w Paryżu p. Mazon, najniepotrzebniej w świecie, jakiś cień wątpliwości na „Igora“ rzucił, nieusprawiedliwia autora i jego „faktu“ sfałszowania „Igora“! Zamiast siania plotek należało pouczyć się wpierw o faktach, por. odprawę siarczystą, jaką uraczyłem autora w organie fachowym (Zeitschrift für slav. Philologie XIV, 48-55).

Odpisując dosłownie Trautmanna przeczy autor związkowi świadectw epiki germańskiej o Eljaszu ruskim z Ilją „bylinnym“. Ależ tu o byliny wcale nie chodzi, chodzi tylko o to, że w XII wieku istniały już podania ruskie o tym Eljaszu a dostały się w XIII przez kupców lubeckich na Zachód, i to nam zupełnie wystarcza, aby ocenić i zchłopiałego Ilję bylinnego i zrozumieć, dlaczego on właśnie zajął naczelne miejsce w bylinach: Przypomniał mi się przy tym słuchacz, który po lekcji o pierwszych drukach polskich zapytał, czyż to możliwe, żeby się zachowały do dziś druki szesnastowieczne? Ależ na karcie tytułowej masz pan datę! A cóż to dowodzi, odparł mi najspokojniej. Tak samo dowodzą Ortnit i Thidreksaga (nie bylin, lecz) podań o Eljaszu ruskim, i ten fakt usuwa wszelkie wątpliwości, jak owe daty na karcie tytułowej.

Przecząc z zapałem godnej lepszej sprawy „hipotetycznej prehistorii bylin przed wiekiem XVI“ twierdzi autor stale „nagłe ich pojawienie się“ w w. XVI. Ja o żadnym „nagłym ich pojawieniu się“ nigdy nie słyszałem (chyba myśli autor o kilku bylinach pieśniach historycznych o Iwanie Groźnym?); wiem tylko, że w końcu XVII i początku XVIII w. pojawiło się kilka prozaicznych streszczeń bylinnych wątków a w 2 połowie XVIII w. pierwsze byliny same. Najstarsze takie streszczenie, zwące się „słowem bohaterskim“, ma w tytule: „Skazanie o kijewskich bogatyrjach“ i polega na odmiennym, dziś nie przechowanym wariancie bylinnym, o czym nikt nigdy nie wątpił. „Ja natomiast wedle swej „znanej metody“ stosunek tych tworów odwracam, przyjmuję, że Skazanije stanowi prototyp pieśni późniejszych zreformowanych, zastępujących Carogród i Konstantynopol, Kijowem i Włodzimierzem itd.“. Odwraca więc autor jak zawsze (por. stosunek „Zadońszczyny“ i Igora“ u niego) kota ogonem i pokazuje w dalszym ciągu gruszki na wierzbie, bo oto „gdyby udało się mnie samemu czy komukolwiek innemu odnaleźć bizantyjskie (!!) źródło „Skazanija“, odpadłaby wszelka dyskusja na temat prymarności Skazanija czy bylin itd. Ależ to nowy nonsens; na tytule mowa o kijowskich, nie o carogrodzkich bohaterach; nic Carogrodowi, lecz Kijowu zagrażali Tugarin i Czudowiszcze! i „wiązać Skazanije bezpośrednio z tradycjami bizantyjskimi“ jest dowolnym żartem autora — wiemy coś więcej o literaturze bizantyjskiej, i odszukanie bizantyjskiego źródła Skazanija“ odkładamy śmiało do sądnego dnia. Nigdy też nie odpowiedział autor na zabójcze dla jego metody pytanie: jeśli się byliny nagle dopiero w XVI w. zjawiły, dlaczego nie ma w nich najmniejszej wzmianki o Moskwie, o carze rosyjskim (jest tylko tatarski!!), dlaczego oddychają one samym średniowieczem i Kijowem, nieistniejącym faktycznie od niemal 300 lat? (tylko późne XVI wieczne mówią o Groźnym). Żadne mędrkowania tu nie pomogą; z epiki germańskiej wiemy, że o Ilji prawiono na Rusi już w XII w. i stąd to owa średniowieczna aura bylinna, która i wątki nowelistyczne objęła ale charakteru połowiecko-tatarskiego nie zatarła. Hic Rhodus, hic salta! Że badacze rosyjscy w XX w., (nie w XIX!) o jakichś przeredakcjach moskiewskich bylin kijowskich prawią, to możnaby odliczyć i na podświadomą niechęć „kacapów“ przeciw „chachłom“, u których miałyby powstać byliny, którymi się „kacapi“ chlubią. Wszelkie pomysły autorskie „o dawności tekstów tradycyjnych“ są więc chybione na polu o którem tu mowa! On prawi i o deformacjach polskich tekstów, ależ wybrał bardzo niemądry przykład na str. 83 i 84, bo balladę „Pod jaworowym cieniem“ w zbiorze Badeckiego. Nie wspomniał ani słówkiem, że Badecki nietylko przytoczył „odmiany tekstów (z wydania poprawnego) w komentarzu krytycznym“, ale, że wydrukował caluteńki ów padwan w „logicznej budowie wersyfikacyjnej”, tak że wywody obszerne prof. Krzyżanowskiego były zbędne: tu niema mowy o deformacji tekstu tradycyjnego: wina jest zecera, nie tradycji. Obaj (Badecki i prof. Krzyżanowski) nie spostrzegli, że „Dama“ Strzeżowczyka, skąd ów padwan pochodzi, nie wyszła na początku XVII wieku, lecz w drugiej jego połowie i nie od niej „lirykę mieszczańską“ zaczynać należało; jej miejsce po roku 1649.

Dla ocenienia metody prof. Krzyżanowskiego tych kilka uwag wystarczy; wiem, że jego uporu nikt nie przełamie, ale nie o niego chodzi, lecz o czytelników, których on w błąd wprowadza.

Berlin. Aleksander Brückner.

ODPOWIEDŹ PROF. AL. BRÜCKNEROWI

Artykuł ten, podobnie jak poprzednie napaści prof. Brücknera, w „Wiadomościach Literackich" oraz „Ruchu Literackim", pozostawiam bez odpowiedzi. Czytelnika, który by się interesował przyczyną mego milczenia, odsyłam do zakończenia mej repliki, pomieszczonej w roczniku poprzednim, str. 122.

Lojalnie dodaję, że zarzut, jako bym „ani słówkiem" nie wspomniał o pochodzeniu poprawnego tekstu pieśni „Pod jaworowym cieniem", skłonny jestem uważać za defekt pamięci mego antagonisty, a nie za kłamstwo, użyte jako broń do pokonania przeciwnika.

Warszawa. Julian Krzyżanowski.

JESZCZE RAZ W SPRAWIE DAWNOŚCI BYLIN

Nie mając zamiaru przedłużania ponad miarę mego udziału w przerastającej o wiele moją kompetencję dyskusji o dawności bylin, chciałbym tu tylko stwierdzić, że prof. Juljan Krzyżanowski, uznając wysuwane przeze mnie przesłanki, wyciąga z nich zupełnie odmienne konkluzje: to właśnie grozi dyskusji utknięciem na martwym punkcie. Tak, stwierdzając „prawo" zauważone na innych epikach, że wersje prozaiczne są późniejsze od wierszowanych, prof. J. Krzyżanowski „nie respektuje" tego prawa, gdy chodzi o epikę ludową rosyjską, opierając się na argumentach rzekomej deformacji wątków tematycznych w bylinach. Tymczasem na podstawie licznych analogij wydaje się oczywistym rozwój epiki od prastarych tematycznie opracowań pojedyńczych wątków do bardziej skomplikowanych konstrukcyj łączących w jedno szereg tematów, a taki jest stosunek bylin do „Skazanija o kijewskich bogatyriach", w którem prof. J. K. chce widzieć źródło bylin. Najcharakterystyczniejsze i ponad wszelką wątpliwość ukazujące wtórność „Skazanija" jest (podniesione przeze mnie w „Przeglądzie Współczesnym" z lutego 1935 r.) umieszczenie w nim obok siebie dwóch epizodów, stanowiących warjanty jednego i tego samego wątku, zastosowanego w bylinach do jednego, potem do drugiego bohatera: kompilator prozaicznej wersji położył je obok siebie (walka Ilji z nadprzyrodzoną potęgą, smokiem, i to samo w odniesieniu do Aloszy). Mechaniczne zlepianie fantastyki ludowej w powieść prozaiczną, charakterystyczną dla piśmiennictwa rosyjskiego z końca XVII w., jest tu jasne, a proceder przedstawia uderzające analogje do zużytkowania epiki starofrancuskiej w romansie rycerskim i w renesansowej poezji włoskiej. Prof. J. K. sam te fakty podaje, interpretując je jednak w sposób odmienny, stanowiący przewrót w zwykłych naszych wyobrażeniach o tych sprawach.

Warszawa. Karol W. Zawodziński.

O „PRAWACH EPICKICH”

Moja dyskusja z p. K. W. Zawodzińskim jest wymowną ilustracją, jak oględnie należy operować niejasnymi terminami literackimi. Myślę tu o „prawach epickich”, które, zdaniem mego antagonisty, interpretuję rzekomo „w sposób odmienny i stanowiący przewrót w zwykłych naszych wyobrażeniach o tych sprawach”. Nie wiem, jak wyglądają „zwykłe wyobrażenia” p. Zawodzińskiego, ani on sam bowiem ich nie sformułował, ani nie wskazał źródeł, którym je zawdzięcza. Może się mylę, ale wydaje mi się, że traktuje on prawa, o których mowa, na sposób praw fizycznych, a więc powszechnych i bezwyjątkowych.

Co do moich wyobrażeń, to pokrywają się one naogół z tym, co o tych sprawach mówi się w nauce dzisiejszej. Na dowód mały urywek z encyklopedycznego artykułu Berendsohna, cytowanego już przeze mnie w toku poprzedniej dyskusji. Stwierdziwszy, że prawa te w sformułowaniu dwu wybitnych folklorystów, Olrika i Moe'go, radykalnie się różnią, autor mówi dalej:

„Sie sind nur bildlich mit Naturgesetzen zu vergleichen, da ihnen die Ausnahmlosigkeit fehlt; es sind Kulturregeln von mehr oder weniger weitreichender Gültigkeit, die das Gemeinschaftsleben im Volke als Spielraum haben und von den gestaltenden Kräften der menschlichen Seele abhängig sind. Sie gehören zu den Gesetzen, die für das Leben der gesprochenen Sprache gelten, indem sie die Regeln für einen Sonderfall erhalten, für eine Kunstform der lebendigen Sprache, eben den mündlich überlieferten epischen Dichtung” [1]).

Sądzę, że w świetle takiego ujęcia, moje nierespektowanie „praw” z terenu francuskiego na terenie rosyjskim, operowanie zaś prawami, wysnutymi z materiału badanego, reprezentuje metodę, bardzo dzisiaj pospolitą.

Warszawa. *Julian Krzyżanowski.*

[1] Handbuch des deutschen Märchens 1, 566.

PRZEDPŁATA RUCHU LITERACKIEGO

Ruch Literacki wychodzi co miesiąc (z wyjątkiem lipca i sierpnia). Przedpłata roczna (10 zeszytów wraz z bezpłatnym dodatkiem «Bibliografia literatury polskiej»): zł. 10.— półroczna: zł. 5.— Przedpłata zagraniczna rocznie: zł. 15.— Numer pojedyńczy: zł. 1.50. Prenumeratę należy jedynie wpłacać do P. K. O. na Konto Ruchu Literackiego: № 12.500. Ceny ogłoszeń: na okładce 1/1 str. zł. 80.— 1/2 str. zł. 50.— 1/4 str. zł. 30.—

REDAKTOR: PIOTR GRZEGORCZYK

REDAKCJA: WARSZAWA, ul. Kromera 4 m. 18

ADMINISTRACJA: «Parnas Polski» Warszawa, ul. Marszałkowska 110 m. 14. Tel. 6-38-28.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI



Okładka Fr. Radziszewskiego

Listy,

Tom I 1879 – 1906

W opracowaniu STANISŁAWA HELSZTYŃSKIEGO

Str 416, ilustracyj 76, autogr. 9

Tom I-szy zł. 10, w oprawie płóc. zł. 12.50

(Całość obejmie 3 tomy. Tom II-gi wkrótce się ukaże)

		Zł. gr.
JULIUSZ SŁOWACKI „Dzieła" wydanie zupełne w 3 tomach z licznymi ilustrac. i obszernym wstępem prof. Piniego	brosz.	16.50
	opr. płóc.	22.50
	połskórek	34.50
JULIUSZ SŁOWACKI Wybór dzieł w 1 tomie, przeszło 600 str.	brosz.	6.—
	opr. płóc.	8.—
	półsk.	12.—
ZYGMUNT KRASIŃSKI „Dzieła poetyckie" w jednym tomie, z wstępem prof. T. Piniego	brosz.	5.50
	opr. płóc.	7.50
	półsk.	11.50
ZYGMUNT KRASIŃSKI „Listy" w jednym tomie	brosz.	5.50
	opr. płóc.	7.50
	półsk.	11.50

		Zł. gr
CYPRIAN NORWID „Dzieła — pierwsze zbiorowe wydanie w jednym wielkim tomie	brosz.	7.50
	opr. płóc.	8.80
	półsk.	12.50
JULIUSZ SŁOWACKI „Król Duch". Wydanie zupełne, komentowane. Ułożył i komentarzem opatrzył Jan Gwalbert Pawlikowski. Tom I. Teksty, str. XVI i 604. Tom II. Komentarz, str. XVI i 492 i 8 tablic autografów. Cena za kompl.	brosz.	11.50
(poprzednio zł. 110.—)	półsk.	40.—
ANTONI POTOCKI „Grottger". 206 str. tekstu, 244 ilustracyj na kredowym papierze, 6 plansz trójbarwnych i 4 rotograwiury. Cena dzieła wraz z luksusową oprawą	w półskórek	45.—
	(poprzednio wynosiła	98.50)

SPÓŁKA WYDAWNICZA

„PARNAS POLSKI"

Warszawa, Marszałkowska 10 m. 14, tel. 6-38-28.